RYMY i RYTMY

LEO BELMONT

RYMY i RYTMY

WYBÓR POEZYJ

TOM III

Przekłady

WARSZAWA
NAKŁAD JANA FISZERA
1900

Дозволено Цензурою
Варшава, 12 Октября 1899 г.

Leconte de Lisle.

Do Erosa.

Ziemia ta płodna — muzyką
Jęków uskarża się dziką,
Że w szale swym wiecznym trwasz —
Erosie, niebios władyko,
Erosie, pogromco nasz!

Po falach burzliwych mórz,
Po śnieżnych wierzchołkach gór,
Po przez doliny kwitnące,
Śród wonnych lilij i róż,
Gdzie nimf rozpląsanych chór
Wesoło igra na łące,
Do wszystkich brzegów i ziem
Dobiegasz ognistym tchem...

I szybkonogie łowczynie,
Gdy pędzą za zwierzem w dół,

W zielonych lasów gęstwinie
Doganiasz i w sieci strącasz...
I mędrców spokój zamącasz,
Zrywając wieńce z ich czół!

Gdy cicha panuje noc,
Małżonka w swem sercu czystem,
Palona tchem twym ognistym,
Miłości odczuwa moc;
I na swem łożu samotnem,
Ponętnym oddana snom,
Drży pod dotknięciem pieszczotnem,
Marząc, że wchodzisz w jej dom.

Ugodzon pociski twemi,
Nim nadszedł znikomy kres,
Wszelki śmiertelnik na ziemi
Oczy miał mokre od łez,
I patrząc na krwi obfitość,
Z otwartych płynącą ran,
Twą ostrą swawolą gnan
Głośno cię błagał o litość.

Lecz ty nie zrywasz swych sideł,
Ty nigdy nie zwijasz skrzydeł,
Nigdy nie scicha twój szał.
Więc w szczytnej niebios krainie
Drżą nieśmiertelne boginie
Przed mocą promiennych strzał.

Sen tobą pełny i jaw,
Słucha cię przestwór powietrzny,
I przestrzeń i czas odwieczny
Pilnują wiecznych twych praw.
Śród ziemskich i wodnych dróg
I tam gdzie niebios jest próg
Wszędy pociskiem swym władasz...
I na Olimpie zasiadasz —
Śród Bogów najwyższy Bóg!

Ziemia ta płodna — muzyką
Jęków uskarża się dziką,
Że w szale swym wiecznym trwasz —
Erosie, niebios władyko,
Erosie, pogromco nasz!

Meilhac.

(Sonet).

Pani żądasz sonetu? Łaski, rozważ Pani
Trzech rymów doń potrzeba... tu mnie trudność
[spotka
Lecz do „Pani“ są rymy: „dla Niej“ i „Pod-
[dani“
I ot, pierwsza dość gładka złożyła się zwrotka.

Więc do środka przechodzę... przechodzę do
[środka,
Mam jeszcze nieużyty rym w zapasie „dla Niej“
Użyłem go... Choć w myślach łączność nader
[wiotka,
Ale w formie Petrarka nawet nic nie zgani.

Oddycham... W mniejszej rymów jesteśmy po-
[trzebie
Teraz trzeba nam nieco sercowej boleści,
Gdyż inaczejby sonet sam się zaparł siebie.

O! jeszcze nie zapóźno... jeszcze trójwiersz zmieści
Wyznanie: „Kocham Panią!“ albo „Kocham Cie-
[bie!
I oto sonet gotów — dźwięczny, pełen treści...

X.

Z francuskiego.

(Sonet).

Mam w duszy tajemnicę, niewyznaną w słowie,
Miłość wieczną, co w jednym powstała momencie,
To zło jest bez ratunku, — milczę o niem święcie,
I ta, co je sprawiła, nigdy się nie dowie.

Przejdę przy niej, a nic mnie oczom jej nie
[wskaże,
Zawsze tuż przy jej boku, a samotny przecie,
I mą cichą pielgrzymkę zakończę na świecie,
Nie śmiejąc nic zażądać, nic nie wziąwszy
[w darze.

A ona, choć tak słodka i taka łagodna,
Roztargniona swą drogą przejdzie i swobodna,
I szeptu miłosnego, co drży po jej drodze,
Nie usłyszy, oddana obowiązkom srodze,
I czytając te wiersze, tak pełne jej, spyta,
Nie pojąwszy ich wcale: Co to za kobiéta?

V.

Z francuskiego.

Pieśń miłości.

Nie chcę słuchać pieśni,
Brzmiącej pośród drzew...
Słodszym jest twój głosik,
Niż słowika śpiew!

Pocóż Bóg gwiazdami
Imponuje mi?!
Najcudniejsze słońce
W oczach twoich lśni!

Na cóż nowy kwiecień
Stroi cały świat?!
W twojem sercu kwitnie
Najwonniejszy kwiat!

Zkąd to słońce życia?
Zkąd ten śpiewu dar?
Zkąd ten kwiat rozkoszny?..
To miłości czar!...

Charles Hubert Millevoye.

Spadające listki.

Ozdobę lasów zdarł wiatr jesienny
I ziemię żółtym usłał dywanem;
Już bez tajemnic las stoi senny,
Już słowik pieśnią nie brzmi nad ranem.
Gasnący młodzian po raz ostatni
Po lasku błądził, w sercowej męce,
I rzucał uśmiech laskowi bratni,
Bo tu mu zbiegły lata dziecięce! —
Lasku mój luby, żegnaj... umieram,
Twoja żałoba wróżbą mi służy:
Gdy na twych liści spadek spozieram,
Myślę, że on mi śmierć moją wróży.
I Epidaury wyrocznie wieszcze
Zda się wyrzekły: Ten lasek bratni
Przed twojem okiem żółknieje jeszcze,
Ale dla ciebie poraz ostatni.
Wieczysty cyprys, zmąciwszy ciszę,

Nad twoją głową już się kołysze,
Długie gałązek schyla ramiona,
I prędzej uschnie młodość twa blada,
Niźli przekwitnie trawka zielona
I z chwiejnych krzaczków kwiecie pospada."
Tak, ja umieram!.. wiatry północy
Mego żywota wiosnę zmroziły.
Choć życia pragnę, znikąd pomocy,
Muszę do czarnej zstąpić mogiły.
Spadnij więc listku z twarzą żebraczą,
Spadnij i pokryj smutną tę drogę,
Osłoń przed matki mojej rozpaczą
Miejsce, gdzie jutro leżeć już mogę.
Lecz ma kochanka przyjdzie tu może
Popłakać za mną na mej mogile,
W ciemnej alei, w wieczornej porze,
Cień mój natenczas zbudź, szemrząc mile —
Bym był szczęśliwy, choć jedną chwilę!
Tak rzekł, odchodzi... po czasie małym
Ostatni listek, spadając z drżeniem,
Był jego smutnej śmierci sygnałem
Grób mu wyryto pod dębu cieniem.
Ale nie przyszła jego kochanka
Odwiedzić zimny kamień mogilny;
I tylko czasem w dolinie, z ranka,
Okrzyk młodego pasterza silny,
Lub zbłąkanego kroki wędrowca
Przerwały ciszę jego grobowca.

Henryk Heine.

Z pieśni Łazarza.

1.

Rzuć pobożne hypotezy,
Przypowiastki zostaw święte,
Bez ogródki zbadaj, rozwiąż
Raz pytania te przeklęte:

Przecz, pod krzyżem gnąc się prawy,
Ledwie krwawe wlecze nogi,
A nikczemny mknie na koniu
I w tryumfie woła: „z drogi!“

Czyja wina?... Czyżby Pan nasz
Nie był całkiem wszechmogący?
Lub swawolę sam popierał?
O, to był by czyn hańbiący!...

Takie kwestje ustawicznie
Dręczą człeka — nieboraka,
Aż mu ziemia gębę zatka, —
Lecz czyż to odpowiedź jaka?!

2.

Czarna niewiasta czule mą głowę
Do swojej piersi tuliła;
Ach, moje włosy tam posiwiały,
Gdzie się jej łza potoczyła.

I całowała mnie, ażem osłabł,
Aż moje oczy oślepły,
Rdzeń z pacierzowej kości wyssała,
Napiła się krwi mej skrzepłej...

I odtąd ciało moje jest trupem,
Co w wnętrzu swem więzi ducha:
Nieraz on buntem grozi, szaleje
I przekleństwami wybucha.

Bezsilny duchu! toć muszki nawet
Twa groźna klątwa nie spłoszy;
Znoś los i ucz się beczeć łagodnie,
W modlitwie szukaj rozkoszy

3.

Jakżeż powolnie czołga się czas,
Ten ślimak, straszliwy, potężny! —

Ja jednak w miejscu zostaję wciąż:
Jam całkiem się stał niedołężny.

Promień nadziei, słoneczny blask
Nie zejdą już w celi mej cienie, —
Wiem, że jedynie na wązki grób
Ten pokój fatalny zamienię.

A może-m nawet już dawno zmarł, —
I tylko, gdy północ nastawa,
Do mego mózgu ciśnie się wraz
Widziadeł procesja jaskrawa?

Może to widma pogańskich bóstw...
Na mocy tajemnych dekretów
Lubią wszak one zwoływać zbór
Do czaszek umarłych poetów. —

Ich orgij słodkich straszliwy czar
W tem miejscu dla duchów wybranem,
Czasami martwa poety dłoń
Opisać się kusi nad ranem.

4.

Widziałem niegdyś wiele cudnych kwiatów
Na mojej drodze kwitnących w ustroniu;
Ale mi po nie schylać się nie chciało,
I ominąłem je na dumnym koniu.

Dziś kiedy grób mój już rozwarty czeka,
Gdy śmierć i troska mieszkają w mem łonie, —
Często w pamięci z szyderstwem dręczącem
Wzgardzonych kwiatów wieją na mnie wonie.

Szczególnie jeden z nich: ognisto — żółty
Bratek ten — sercu nie daje spokoju;
Żal mi, żem kwiatka owego nie zerwał:
Z dziką dzieweczką nie pił z uciech zdroju...

Pociecha jedna: że Letejskie wody
Nie utraciły jeszcze dawnej mocy,
Że głupie serce człowieka ukoją
Najsłodszym czarem zapomnienia nocy!

5.

Słyszałem śmiech ich, widziałem pląsanie,
Badałem przepaść rozwartą pod niemi;
Słyszałem płacz ich, widziałem konanie, —
Śledziłem wszystko oczyma suchemi...

Za ich pogrzebem stąpałem w żałobie,
Aż na sam cmentarz zdążając posępnie,
Żadnego z tego sekretu nie robię,
Żem z apetytem jadł obiad następnie...

I naraz... teraz... do piersi stroskanej
Orszak umarłych postaci się wciska;

Pożar miłości nagłej, niespodzianej,
Z popiołów serca przedziwnie wytryska.

A osobliwie łzy Juleczki złotej
W mojej pamięci wciąż płyną tajemnie,
Boleść się wzmaga do dzikiej tęsknoty,
I dniem i nocą wołam ją daremnie.

Często się zjawia w marzeniach gorączki
Ów zmarły kwiatek; — ściska się me łono:
Zda mi się, widzę, jak łamie swe rączki
I jak o miłość błaga mnie spóźnioną.

O, lube widmo, obejmij, uściśnij,
Przytul do piersi mnie, kwiatku jedyny,
Usta swe mocno do ust mych przyciśnij,
Osłodź mi gorycz ostatniej godziny!

6.

Nadchodzi śmierć — nim ziemia mnie pogrzebie,
Ja powiem dziś, com długo dumy siłą
W mem sercu krył: „Ach, luba, wiedz: dla ciebie...
Dla ciebie, ach! to serce zawsze biło!...

Patrz, trumna już gotowa... wnet mogiła
Pochłonie mnie... spoczynek da mi cmentarz...
Lecz, Maryjo, Ty, — ach, Ty, o moja miła,
Zapłaczesz wszak?... kochanka zapamiętasz?!

Już widzę łzy... Daremne skargi wszelkie!
O, pociesz się... Już taki los człowieka,
Okropny los: — co piękne, dobre, wielkie,
To złego końca zawsze się doczeka!

7.

Ja synom szczęścia nie zazdroszczę wcale
Szczęsnego życia, — zazdroszczę im tylko
Ich lekkiej śmierci, — chciałbym mieć w udziale
Ich śmierć, co była tylko krótką chwilką.
W świątecznych szatach, z wieńcami na głowie,
Na uczcie życia, gdzie śmiech i śpiewanie, —
Tak siedzą szczęścia wybrani synowie,
Gdy śmierci cios w nich pada niespodzianie.
W świątecznych szatach, z wesołością w oku,
Nieuwiędłemi różami okryci,
Do państwa cieniów, do Plutona mroku
Schodzą Fortuny szczęśni faworyci.
Nigdy ich ciało nie znało słabości,
I umierając, mają dobrą minę...
Zda się, że idą w charakterze gości
Witać królowę cieniów — Prozerpinę.
Ach, ja im siły zazdroszczę wszystkiemi!
Boć siódmy rok już, cierpiąc męki srogie,
W strasznych boleściach wiję się po ziemi,
I wzywam śmierci, a umrzeć nie mogę!
Błagam cię, Boże, skróć-że me męczarnie,
Niech że już zniknę z tej ziemi do szczętu;

Dziwną mi rolę wybrałeś niezdarnie:
Na męczennika ja nie mam talentu!
Wybacz mi Panie, Twoja mnie przeraża
Niekonsekwencyja!... Czy się jej zapierasz?...
Najweselszego stworzyłeś pieśniarza,
A teraz dobry humor mu odbierasz!
Dowcip mój gaśnie, przez ten ból uparty;
Rozważ, że jestem już melancholikiem;
Jeśli nie skończą się te smutne żarty,
Dalibóg, zostanę wreszcie katolikiem!
Napełnię wówczas uszy Twe, ach, biada!
Jękiem, jak owi eni wyznawcy Chrysta.
O nieba! nieba! jak marnie przepada
Najlepszy z wszystkich w świecie humorysta!

Z cyklu

„Intermezzo".

1.

W przecudnym Maju miesiącu,
Gdy ziemia w kwiaty jest plenna,
I w mojem sercu naówczas
Rozkwitła miłość wiosenna.

W przecudnym Maju miesiącu,
Gdy ptasząt zabrzmiały pienia,

Ja jej wyznałem naówczas
Mój ból i moje pragnienia

2.

Dzieweczko słodka, gdy Cię grób,
Ach, ciemny grób pogrzebie,
Do Ciebie chciałbym wówczas znijść,
Przytulić się do Ciebie.
Całuję, ściskam, tulę Cię,
Ty cicha, zimna, blada,
Szalony krzyczę, płaczę, drżę,
Aż śmierć i mną owłada.
Umarli wstają, północ zwie,
Powietrzne tańczą roje,
Lecz my zostajem w grobie wciąż,
Ściskając się oboje.
Umarli wstają — sądu dzień
Na ból i rozkosz woła,
Lecz my, w uścisku leżąc wciąż,
Nie dbamy o nic zgoła...

3.

Twarzyczka twoja piękna i miła
Już mi się dawniej we snach jawiła:
Taka anielska, urocza, rada,
A przytem blada, śmiertelnie blada;

I tylko wargi były różowe...
Lecz śmierć zcałuje blaski jutrzniowe
I ten niebiański ogień przygłuszy,
Co z twoich oczu świecił mej duszy.

4.

Samotna sosna się wznosi
Śród chłodnych północnych stron...
Senną jest; białą zasłoną
Otulił ją śnieg i szron...
    Marzy o palmie samotnej,
    Co w głuchym i tęsknym śnie,
    W oddali, gdzieś na południu,
    Na skale gorącej schnie...

5.

Powiedz mi, proszę, powiedz, aniele,
Czy jesteś tylko marzeniem sennem,
Które w fantazyi poety strzela
Pod rozjaśnionem niebem wiosennem?
Lecz nie! bo takiej twarzy uroczej,
Uśmiechu, który usta rozpieszcza,
Tych ząbków, rączek, ocząt, warkoczy,
Tego nie stworzy fantazya wieszcza.
Tylko bezczelne piekieł potwory,
Tylko nikczemne zmysłów podniety,

Gady, wampiry, gniotące zmory,
Może wytworzyć umysł poety.
Lecz marmurowo-bladej twej twarzy,
Oka, co zda się o niebie marzy,
Lecz twoich słodkich spojrzeń obłudnych
Z Twoją naiwną mową zdradziecką,
Twoich kłamanych pieszczot ułudnych,
Ciebie, kokietkę, grającą dziecko,
Twoich kaprysów, aniele hoży,
Fantazyą nigdy wieszcz nie utworzy!

6.

Dokoła tak pięknie: tak błyszczą niebiosa:
Na listkach świeżuchna rozperla się rosa;
Rozchodzą się śmiechy wesołe wokoło,
I wietrzyk swawoli, muskając mnie w czoło:
A jednak w mem sercu ból w dawnej trwa sile;
O, chciałbym już w zimnej spoczywać mogile!...

7.

Tak, nędznaś Ty! i to mój gniew ugłaska...
Ach, luba ma, — wszak nędzni my oboje!
Dopóki śmierć nam chorych serc nie strzaska,
Musimy być nędznymi wraz oboje!...

Nie zmamisz mnie szyderczem ust skrzywie-
[niem,
Ni dumą twą, ni tym zuchwałym gestem,

Ni śmiechem tym, ni lśniącym ócz promie-
[niem, —
Wiem: nędznaś Ty, — jak ja nędzarzem jestem!

Już zlekka ból tknął wargi twe różane,
Ukryta łza przyćmiła oczy twoje,
I dumna pierś tajemną nosi ranę, —
Ach, musim być nędznymi wraz oboje!

8.

Jak możesz sypiać spokojnie,
Gdy wiesz, że dotąd ja żyję, —
Toć stary gniew może wrócić,
Wówczas me jarzmo rozbiję!...
Czy ową dziwną piosenkę
O zmarłym chłopcu pamiętasz,
Co w północ porwał kochankę
I uniósł gwałtem na cmentarz?
Wierzaj mi, dziecię przecudne,
Ty, coś piękności obrazem,
Że żyję i żem mocniejszy,
Niż wszyscy umarli razem!

9.

Ja chciałbym w jedynem słowie
Zamknąć bezmierny mój żal

I wichrom słowo to rzucić,
By wichry niosły je w dal...
I niechby to żalu słowo
Podchwycił wreszcie twój słuch,
I niechby zawsze i wszędzie,
Jak wyrzut, czuł je twój duch.
A kiedy zmęczone oczy
Tonęłyby w marzeń mgłach,
Niechby to słowo dźwięczało
Nad tobą nawet i w snach...

10.

Rybaczko ty urocza,
Do brzegu przysuń łódź,
Tu przyjdź i siądź tu przy mnie
I piosnkę swą mi nuć.
Złóż główkę na mem sercu
I ciężar obaw zwal:
Powierzasz się wszak codzień
Igraszce dzikich fal...
Me serce jest jak morze,
Zna burz i prądów moc,
I w niem niejedna perła
Śni w głębiach długą noc...

11.

Księżyc spoczywa śród chmur, —
Olbrzymiej ma kształt pomarańczy,

I leje złoty swój blask,
Co drga na falach i tańczy...

Idę samotny... O brzeg
Kruszą się białe bałwany...
I słyszę z głębiny szept,
Szept słodki mowy nieznanej...

O jakżeż dłuży się noc!...
Serce już milczeć nie może:
Ach, nimfy, wyjdźcie z tych fa',
Tańczcie, śpiewajcie w tej porze.

Do piersi swych tulcie mnie,
Czarami duszę osnujcie,
Pieśćcie, śpiewajcie i z piersi mej
Me życie wraz wycałujcie...

Z cyklu
„Heimkehr"

1.

Ach, te oczy widzę znów,
Co mi lśniły w życia wiośnie!
I te usta czuję znów,
Z których piłem czar miłośnie!

Ach, i głosik jest ten sam,
Com go ongi słuchał chętnie.

Tylko jam już nie ten sam,
Lecz zmieniony dziś doszczętnie...

Białym wieńcem ramion dwu
Pieszczotliwie otulony,
Na jej sercu leżę dziś
Chmurny, tępy, rozdrażniony...

2.

Życie — to upał męczący dzienny,
Śmierć — to północy chłodzący cień...
Oto się ściemnia... Jestem już senny...
Znużył mnie życia upalny dzień...

Nad mojem łożem dąb się kołysze,
Słowik śród liści śpiewa swój tren...
Cudną miłosną piosenkę słyszę,
Głęboko w ziemi słyszę przez sen!...

Z cyklu

„Neues Frühling“.

Na mego serca dnie
Huragan wspomnień się kłębi...
Coś w głosie Twoim jest,
Co mnie tak wzrusza do głębi!

Nie mów, że kochasz mnie!
Toć wszystko piękne na świecie —
Miłości, wiosny czar
Do zguby podąża przecie!
Nie mów, że kochasz mnie!
Lecz całuj i milcz, kochana, —
I drwij, że bukiet z róż
Uwiędłym zobaczysz zrana!

Angelika.

Ja jej oczy zamykam z uśmiechem
I namiętnie całuję jej usta.
Odtąd spać mi nie daje spokojnie,
Bo ciekawa, zkąd takie mam gusta.

Od wieczora późnego do ranka
Ciągle pyta dziewczyna ta pusta:
Czemu oczy zamykasz mi z śmiechem
Gdy namiętnie całujesz me usta?

Ja nie mówię jej, czemu tak czynię,
Bo sam nie wiem, zkąd takie mam gusta:
Ja jej oczy zamykam z uśmiechem
I namiętnie całuję jej usta.

Hortensyja.

Pomnę, niegdyś ja wierzyłem,
Że gdy całus dajem, bierzem,
To on w niebie przeznaczony,
Aby uczuć był probierzem.

A więc wówczas całowałem,
Aby duchów stwierdzić związek,
Tak poważnie, jakbym spełniał
Jaki ważny obowiązek.

Teraz wiem już, że całusy
Są zbyteczne, bez użytku, —
Więc całuję z lekką duszą
I bez wiary i do zbytku!

Serafina.

1.

Gdy wieczorem błądzę w lesie,
Pogrążonym w słodkim śnie,
Zawsze lekka twoja postać
Tuż przy moim boku mknie.

Czy to nie twe miłe lica?
Czyż to nie jest welon twój?
Czy to tylko blask księżyca
Po przez liści wpada zwój?
Słyszę cichych łez spadanie...
Czy to moje własne łzy?
Czy też płacząc, luba, przy mnie
Rzeczywiście stąpasz Ty?...

2

Nad cichem morskiem wybrzeżem
Mrok nocy zwolna zalega,
Księżyc wypływa z za chmury,
A z fali szum ten wybiega:
„Czy tamten człowiek jest głupi,
„Czy zakochany okrutnie?
„Bo tak dziwacznie wygląda;
„Razem wesoło i smutnie“.
Lecz księżyc śmieje się w górze
I zda się mówi: „niestety!
On zakochany i głupi
I przytem kawał poety!“

3.

Tam nad czarnemi falami
Ledwie ją dojrzy me oko:

To biała mewa tak fruwa;
Księżyc lśni w górze wysoko
Haja łeb z morza wysadza,
Oddycha długo, szeroko;
Wznosi się mewa, opada...
Księżyć lśni w górze, wysoko.
Dusza się z ciała wyrywa,
Strach czuje, boleść głęboką:
Woda jest dla niej za blizką,
Księżyc lśni w górze, wysoko.

4.

W księżyca blasku spoczywa morze
I dziwne rozlewa czary...
Biedne me serce tęskni w tej porze;
Wspominam o pieśni starej.
O starej pieśni, która opiewa
Zalane, przepadłe grody;
Dźwięk dzwonów z chórem modlitw się zlewa
I wydobywa się z wody.
Dźwięk dzwonów z modlitw uroczą chwałą
Tym grodom nic nie pomoże,
Bo to co raz pogrzebane zostało,
Nigdy powrócić nie może!...

5.

Że ty mnie kochasz, wiedziałem o tem,
O ja to dawno odkryłem,

Lecz gdy mi miłość swoją wyznałaś,
Głęboko się przeraziłem!
Błądziłem w górach, śpiewałem pieśni,
Radością tchnęło me łono;
Byłem nad morzem, płakałem długo,
A zachód gorzał czerwono.
Me serce równie świetlne, płomienne,
Wygląda, jako to słońce —
Ono się w morzu miłości pogrąża
Wspaniałe, piękne, gorące!

6.

Jakżeż ciekawa ta mewa!
Jak na nas spogląda pilnie,
Widząc, że ucho do warg twych
Ja przycisnąłem tak silnie.
Widać, że chciałaby wiedzieć,
Co płynie z ust twych i z duszy,
Czy całusami, czy słowy,
Tyś napełniła me uszy?
O gdybym to sam mógł wiedzieć,
Czem serce me przepełnione?...
Lecz słowa i pocałunki
Cudownie były złączone!...

7.

Zbiegła przedemną, jak dzika sarna,
I tak pomknęła, jak strzała;
A wiatr rozwiewał jej cudne włosy,
Gdy się po skałach wdzierała.

Tam gdzie się skała nad morzem zwiesza,
Nareszcie ją dogoniłem;
Łagodnym tonem, słowem łagodnem,
Wstydliwe serce zmiękczyłem.

Tuśmy siedzieli na równi z niebem,
I czas nam płynął tak błogo,
Pod nami w ciemnem morzu głęboko
Tonęło słońce złowrogo...

Pod nami w ciemnem morzu głęboko
Złowrogo tonęło słońce...
A fale biegły z dumną rozkoszą
Wspaniałe, wściekłe, ryczące...

O, nie płacz, luba, to słońce przecie
Nie wpadnie trupem w te fale:
Ono się w mojem sercu ukryje
W wszystkich swych ogniów zapale!...

8.

Spójrz!... na tych skałach zbudujem kościół,
W nim będziem święcić trzeci testament,
Nowy testament, w którym usuniem
Cierpienie, strachy i łzy i lament!

Zniszczona dzika, śmieszna dwoistość,
Co tyle wieków nas ogłupiała!
I musi ustać wreszcie na zawsze
Tragi-komiczne dręczenie ciała!

Czy słyszysz Boga w tem czarnem morzu?
On mówi w głosów milionie.
Czy widzisz Bożych świateł tysiące,
Od których niebo tak płonie!

Wierzaj! Bóg święty błyszczy w tem świetle
I tam w ciemnościach się kryje:
Bogiem jest wszystko i Bóg jest wszystkiem,
W naszych całusach on żyje!

9.

Cieniem całus! cieniem miłość!
Cieniem życie! — Ha, serdecznie
Śmiać mi chce się! To ty sądzisz,
Że to wszystko trwać ma wiecznie?

Luba! wszystko znika, ginie,
Co świeciło kiedyś jasno:
Nasze serca — te zapomną,
Nasze oczy — te zagasną!

10.

Panienka stała nad morzem,
Wzdychając długo, bez końca.
Jej czułą duszę poruszał
I smucił tak zachód słońca.
Panienko, bądźże weselsza.
To stare! — daje ci słowo:
Tu z przodu ono zachodzi,
Tam z tyłu wraca na nowo.

11.

Runiczny głaz wystaje z wód;
W zadumie siedzę na skale:
Słychać krzyk mew i wiatru świst;
Wędrują i szumią te fale...
Jam druhów miał, kochanki miał;
Jam kochał mocno i stale...
Gdzież oni są?... O, huczy wiatr!
Wędrują i szumią te fale...

Klaryssa.

Zapóźno przyszły ciężkie twe westchnienia,
Zapóźno twarz twa do mnie się uśmiecha!
Wyśmiałaś niegdyś moje uniesienia,
One już we mnie zamarły bez echa.

Późno mnie darzysz miłością wzajemną!
Na moje serce, co już nie zna drżenia,
Padają twoje gorące spojrzenia,
Jak blaski słońca na mogiłę ciemną.

Lecz chciałbym wiedzieć, a próżno się kuszę:
Dokąd po śmierci idą nasze dusze?
Gdzie się podziewa ogień, co zagaśnie?
Gdzie niknie wiatr ten, co przewiewa właśnie?

Wolanta i Maryja.

O, te damy rozumieją,
Jak poetów trzeba czcić!
Mnie i memu geniuszowi
Dały one jeść i pić!

Zupa była przewyborna,
Zając miał przepyszny smak,
Kura boska i wytworna,
A nie było winka brak!
Coś mówiły — o poezyi...
I ja byłem wreszcie syt
I serdecznie dziękowałem
Za ten uprzejmości szczyt!

Emma.

1.

Emmo! powiedz-że mi prawdę,
Czym przez miłość stał się głupi,
Czy też właśnie miłość moja
Była skutkiem mej głupoty?

Ach, prócz wściekłej mej miłości,
Prócz miłosnej mej wścieklizny,
Wciąż mnie dręczy, moja Emmo,
Jeszcze straszny ten dylemat...

2.

Noc z najgorszych mroków armią
Już się ku nam skrada, zda się;
Nasze dusze tak zmęczone!
Ach, ziewając patrzym na się.

Stara-ś ty, jam jeszcze starszy;
Już przekwitła wiosna nasza...
Chłodna-ś ty, jam bardziej chłodny;
Blizka zima mnie przestrasza.

O jak smutnym jest ten koniec:
Po miłosnych żądz rozkwicie
Przyszły żądze bez miłości...
Śmierć tak śpieszy zmienić życie.

Katarzyna.

1.

Do moich objęć się tulisz,
Jak ptak się wtula w swe gniazdo;
Jam — niebem całem dla Ciebie,
Tyś — moją najmilszą gwiazdą!

Tam tłumy głupców ogromne
Pod nami w dole się roją;
Swarzą się, krzyczą, szaleją,
A każdy racyą ma swoją.

Dzwonią ich czapki błazeńskie,
A łzy im płyną tajemnie;
Kolbami swych karabinów
Łby sobie ranią wzajemnie.

Nam zdala od nich tak dobrze,
Tak miłe to nasze gniazdo:
Swą główkę kryjesz w Twem niebie,
Ty moja najmilsza gwiazdo!

2.

Moja Kitty umrzeć musi:
Jej policzki coraz bledną...
Ach, na krótko przed jej śmiercią,
Mam pożegnać Kitty biedną.
    Kitty kona! już niedługo
    Spocznie w zimnej grobu matni...
    I wie o tem... A o wszystkich
    W tej godzinie dba ostatniej.
Przyszłej zimy te pończochy
Każe nosić mi stanowczo,

Do zrobienia których wzięła
Najcieplejszą wełnę owczą.

3.

Drżą zżółkłe drzew korony,
Za liściem spada liść, —
Ach, wszystko drogie, piękne,
Do grobu musi iść...
Bolesne słońca blaski
Po lesie krwawo lśnią;
Ach, może to ostatnie
Całusy lata są...
Chcę płakać; w sercu czuję
Gryzących wspomnień dym...
Rozłąki naszej chwilę
W obrazie widzę tym.
Śmiertelnie chorą jam Cię
Opuszczał, roniąc łzy...
Jam latem odchodzącem,
Ginącym lasem — Ty!

Jenny.

Trzydziesty piąty rok dziś liczę
A ty w piętnastej ledwie wiośnie...
O Jenny, gdy na ciebie patrzę,
Wspomnienia we mnie drżą miłośnie!
W tysiąc osiemset siedemnastym
Roku poznałem dziewczę pewne,
Do Ciebie tak podobne dziwnie,
Zarówno piękne i powiewne...
„Na uniwersytet iść muszę —
Tak rzekłem raz do mej dziewczyny, —
Powrócę wkrótce... czekaj na mnie!“
Odrzekła: „Dobrze, mój jedyny“.
Trzy lata już w pandektach grzęzłem...
Gdy nadszedł Maj... i, ku mej biedzie,
Z Gettyngi straszną wieść dostaję,
Że moja luba za mąż idzie...
A było to pierwszego Maja!
Zieloność... ziemia, wiosną tchnąca...
Chór ptaków śpiewał... każdy robak
Cieszył się w ciepłych blaskach słońca...
A jam był blady i znękany...
Walczyłem próżno z tą niemocą...
Jedyny Pan Bóg chyba wie to,
Ilem ja wówczas cierpiał nocą...

Lecz wyzdrowiałem... w burzach życia
Jak dąb dziś stoję pośród ludzi!...
O Jenny, gdy na Ciebie patrzę,
Wnet stary sen się we mnie budzi!...

Kwiat lotosu.

Bardzo ciekawa z nas para!
Nie zajdzie chyba daleko:
Ona słabuje na nogi,
On jest zupełnym kaleką.

Ona — to kocię cierpiące,
A on — to pies schorowany...
Myślę, że w głowach obojga,
Też zaszły poważne zmiany:

Bo ona mniema, że jeszcze
Jak kwiat lotosu zachwyca,
A on, jej blady towarzysz,
Równać się chce — do księżyca...

Lotos w księżyca promieniu
Kielicha łono otwiera,
Lecz zamiast owocu życia
Tylko ten wierszyk odbiera.

Na obczyźnie.

Miałem ja ongi ojczyznę cudną:
    Tam szumiał Ren,
Dąb rósł wysoko, fijołki kwitły, —
    Lecz to był sen!
W ojczystej mowie brzmiało mi słowo
    (Wiatr niósł je hen...)
To słowo „kocham" przedziwnie dźwięczne, —
    Lecz to był sen!

* *
*

Obnażać głowy, czapki zdejmować,
Zginać kolana, ręce całować,
To tylko, dziecię, kuglarska sztuka,—
Bo serce przytem żywiej nie puka.

* *
*

Nigdym nie uwiódł żadnej dziewicy
Pochlebnem słówkiem — fałszu obsłonką,
Nigdy nie tknąłem żadnej kobiety,
Wiedząc, że była cudzą małżonką.
    W istocie, gdyby było inaczej,
    W księdze, gdzie ludzie z honoru słynni

Piszą swe imię, nie mógłbym błyszczeć...
Ludzie by w oczy plwać mi powinni! —

Doktryna.

Uderzaj w bęben, nie bój się nic
I markietankę całuj i pieść!
Toć przecie cała nauka nasza...
Toć przecie książek najgłębsza treść!
A ludzi ze snu bębnieniem budź,
Wszędy pobudkę tę trzeba nieść.
Maszeruj, bębniąc, idź naprzód wciąż!
To naszej wiedzy calutka treść!
To filozofia heglowska cała,
W tem się sens książek wszelakich skrył!
A jam to pojął, bo rozum miałem,
Bo ze mnie dobosz przepyszny był!

Czekajcie tylko.

Ponieważ tak przedziwnie świetnie błyskam,
Sądzicie więc, że grzmotem już nie władam...
Mylicie się, ja równie gromy ciskam,
Do grzmienia też talencik ja posiadam!
Ten talent mój poznacie należycie,
Gdy dobry dzień zabłyśnie wam nad głową:

Straszny mój głos naówczas usłyszycie,
Piorunów dźwięk, gwałtowne grzmotów słowo!
Niejeden dąb roztrzaska się w kawały,
W tym wielkim dniu, gdy burza mną owładnie
I pałac wnet niejeden drgnie wspaniały,
Niejedna wraz kościelna wieża padnie!

* *
*

Kto ma wiele, temu wnet
Będzie dane w większej mierze;
Kto ma mało, temu wraz
I to małe się odbierze.

Lecz jeżeli nie masz nic,
To o spieszny pogrzeb proś...
Łotrze, mają prawo żyć
Tylko ci, co mają coś!

Pojedynki.

Dwa woły żywy wiodły spór,
Aż echem trząsł się cały dwór;
Gorącą obaj mieli krew,
Więc jeden wreszcie, wpadłszy w gniew,
W dysputy żarze wzniosłym
Drugiego nazwał „osłem“!

A że „osioł“ u wołów jest lżącym wyrazem,
John-Bull'e się musieli boksować tym razem.

A na tym dworze, w tenże czas
Dwa osły też się zeszły wraz
I również wszczęły żywą kłótnię:
Co także się skończyła smutnie:
Gdyż widząc jeden długouchy,
Że drugi został całkiem głuchy
Na jego wszelkie argumenta.
Wraz cierpliwości zerwał pęta,
Któremi nas konwenans skuł
I ryknął gniewnie: „Jesteś wół“!
A żaden osioł z gładkiem nie pozwoli czołem,
By go ktoś się ośmielił tytułować wołem.
Więc pojedynek nastąpił,
W którym jeden drugiemu nie skąpił
Uderzeń kopytem i głową,
By rozstrzygnąć sprzeczkę honorowo!

A morał ztąd?... Tu niema zagadki...
Ja myślę, że są wypadki,
W których dla słusznej honoru obrony
Pojedynek jest nieunikniony!
Boć student musi bić się przecie,
Jeśli go durniem nazwiecie!

* *
*

Więdnie liść, nadchodzi zima,
Drzewa nagie w lesie;
Junkier Smith pistolet trzyma
I zastrzelić chce się.

Stój, szalony! toć na nowo
Liście nam porosną;
Junkrze Smith, uczciwe słowo,
Że powrócą z wiosną!

Niedoskonałość.

Nigdzie doskonałości nie wskazują dzieje
Od tych czasów dalekich, odkąd świat istnieje:
Niema róży bez kolców; a i to wątpliwe,
Czy naprawdę niebiańskie dziewy są cnotliwe;
Tulipan nie ma woni; i jest gadka taka
Że „i człowiek poczciwy ściągnął raz prosiaka".
Cześć Lukrecyi ocala tylko śmierci siła,
A inaczej z pewnością brzemienną by była.
Fatalnie brzydką nogą Bóg oszpecił pawia,
I niejedna Korynna czasem spleen nam sprawia,
Jako Wolter nieboszczyk — ironią „Henryady",
Lub Klopstock nieśmiertelną pięknością Messy-
[jady.

I najidealniejsza, najmądrzejsza krowa
Po hiszpańsku powiedzieć nie potrafi słowa:
I w „Cyprydzie“ Kanowy rażą zbytnie blaski;
Massman nos ma zarówno, jak i dowcip płaski.
I kwaśne rymy w wierszach najsłodszych są
[częste,
Jak żądło ukrywają plastry miodu gęste.
I nieśmiertelny Achill padł z ręki Parysa;
W Aleksandrze Dumasie widzimy metysa;
Każda gwiazda, co świetne rzuca dziś promie-
[nie,
Zbiegiem czasu zakończyć musi swe istnienie.
W najlepszym nawet sydrze słychać woń cebuli
Czarne plamy widnieją na słonecznęj kuli.
A i ty, choć na ludzi rzucasz czarów pęta,
I ty masz swoje braki, przyznaj, żeś nieświęta.
Czemu patrzysz tak na mnie? Bądźmy zatem
[szczersi:
Nie masz piersi, o miła! nie masz serca w piersi!

Staruszka troska.

Minęły chwile szczęśliwe
Gdy żyłem pysznie, wesoło;
Na uczcie przy mnie siedzieli
Druhowie moi wokoło.

Nie było przyjaźni szczerszej,
O, nie znam dni bardziej błogich!
Ale opróżnił się worek
I nie mam przyjaciół drogich.
Teraz u łóżka chorego,
Jak zawierucha zimowa,
Staruszka Troska zasiada,
W nocnym kaftanie, surowa.
Skrzyp tabakierki jej często
Niemile wpada do ucha;
Jak strasznie siwą swą głową
Nademną kiwa starucha!
Zdarza się, widzę znów we śnie
Te czasy szczęścia minione:
I żywiej bić mi poczyna
Na chwilę serce stęsknione...
Wtem skrzyp mi serce rozdziera,
Sen słodki w mgłę się rozwiewa —
Staruszka nos swój wyciera
I głośno nademną ziewa!

A z r a.

Codzień szła sułtańska córa —
Cud dziewica — na przechadzkę
W porze zmierzchu ku fontannie,
Tam gdzie srebrne wody pluszczą...

Codzień stał niewolnik młody
W porze zmierzchu przy fontannie,
Tam gdzie srebrne wody pluszczą;
Codzień bledszy był i bledszy...

Raz księżniczka przystąpiła
I rzuciła mu te słowa:
„Twoje imię pragnę wiedzieć...
Kraj twój? twoje pokolenie?“

I niewolnik odrzekł: „Zwą mnie
Mahometem, z ziemi Yemen,
A mój ród — to owi Azrah,
Którzy giną, gdy kochają“.

Oświadczenie.

Mrok wieczorny zapadał powoli,
Morze groźniej w ciemnościach ryczało,
    A ja siedziałem nad brzegiem
    I w zadumaniu patrzyłem
Na biały taniec swawolnych fal...

I biedna pierś ma wzbierała jak morze...
A sercem dziwna owładła tęsknota
        Za tobą, piękny obrazie,
    Co wszędy mnie ścigasz, otaczasz,

Co wszędy mnie wołasz ku sobie,
Na każdem miejscu i wszędzie:
W bałwanów ryku i w wichrów szumie
I w mego serca westchnieniach...

Lekką trzciną napisałem na piasku:
„Agnes! ja kocham Cię!“
Lecz złe fale rozlały się nagle
Na słodkiem tem oświadczeniu
I zagasiły je wnet!...

O krucha trzcino, o sypki piasku,
Rozpryskujące się fale,
Ja nie dowierzam wam już!

Niebo się staje czarniejszem,
Me serce dzikszem się staje,
Ha! oto silną tą dłonią
Ja wyrwę z lasów Norwegii
Najwyższą sosnę na świecie;
Potem tę sosnę pogrążę
W żarzący się kratet Etny...

I takiem w ogniu umaczanem
Olbrzymiem piórem
Na ciemnem niebios sklepieniu
Te wielkie słowa wypiszę:
„Agnes, ja kocham Cię!“

A odtąd każdej nocy
Tam w górze świecić będzie
Płomienny, wieczny napis...
I późne wnuków pokolenia
Z radością czytać będą
Niebiańskie, szczytne słowa:
„Agnes, ja kocham Cię!“

Zachód słońca.

Rozżarzone krwawe słońce
Coraz niżej się pochyla
I już tonie tam w szemrzącym
Srebrnoszarym oceanie...
Za niem ciągną różowo otchnione
Całe roje powietrznych obrazów,
A naprzeciw zmroku jesiennych obłoków
Wyłania się smutna, trupioblada
Księżycowa twarz...
A tuż i świetlne iskry — gwiazdy
Migocą zdala w mgle...

Niegdyś na niebie błyszczeli
Węzłem małżeńskim złączeni
Luna, bogini, i bożek Sol,
A wkrąg nich wirowały gwiazdy,
Niewinne drobne dziateczki.

Lecz złe języki zasiały niezgodę,
I rozeszło się wraz w nieprzyjaźni
Owe wzniosłe, błyszczące małżeństwo.

Dzisiaj we dnie w samotnej paradzie
Tam na górze kroczy bożek słońca,
Za wspaniałość swoją i za świetność
Opiewany, uwielbiany
Przez dumnych, szczęściem hartownych ludzi
A znów nocą
Po niebie błądzi Luna,
Ta biedna matka
Z sierotami swojemi, gwiazdkami:
Ona błyszczy w swej boleści,
A dziewczęta rozkochane
I rzewni poeci
Ofiarują jej swe łzy i pieśni...

Ta czuła Luna! Kobiecą istotą
Kocha wciąż jeszcze pięknego małżonka.
Co wieczora blada, drżąca,
Wysuwa się z lekkich obłoków
I pogląda boleśnie
Wślad za odchodzącym...
Chciałaby trwożnie zawołać: „O pójdź!
Pójdź, dzieci tęsknią za Tobą“ —
Lecz przekorny słońca bóg
Na widok małżonki

Rozognia się z bólu i z gniewu
Podwójną purpurą
I niezbłagany pospiesza wnet
Do swojej chłodnej wdowiej łożnicy.

* *
*

Nikczemne, syczące języki! —
Więc nawet pomiędzy bogów
Wniosły zepsucie i ból!
Ach, biedni bogowie, tam w niebie wysoko,
Śród męczarni, bez pociechy,
Po tych drogach nieskończonych
Błądzą wciąż —
I nie mogąc umrzeć, wloką
Swą błyszczącą nędzę
Z sobą wraz...

Więc ja — człowiek,
Urodzony w dole,
Obdarzony szczęśliwie śmiercią,
Więcej się nie skarżę już!...

Nocą w kajucie.

—

Morze swe perły posiada,
A niebo gwiazdy ma swoje,

Ale me serce, me serce,
Me serce ma swoją miłość...

Wielkiem jest morze i niebo,
Lecz większe od nich me serce;
Piękniej niż perły i gwiazdy
Błyszczy i świeci ma miłość...

Ty, śliczne młode dziewczątko,
Znijdź w głębie mojego serca;
Me serce, morze i niebo
Ożywcza przenika miłość...

* *
*

Do bladego niebios sklepu,
Gdzie te cudne gwiazdy błyszczą,
Mocno wargi bym przycisnął
I zapłakałbym namiętnie.

Ach, te gwiazdy, te promienne,
To są oczy mej najmilszej, —
One ślą mi blask przyjazny,
Ślą z bladego niebios sklepu.

Do bladego niebios sklepu,
Tam, do oczu mej najmilszej,
Ja pobożnie wznoszę ręce
I tak błagam i tak płaczę:

„Cudne oczy, światła łaski,
Uszczęśliwcie moją duszę,

Dajcie umrzeć i zasłużyć
Was i wasze całe niebo!"

* *
*

Z tych niebiańskich oczu, z góry,
Lecą drżąco złote iskry
Poprzez noc — i dusza moja
W nieskończoność mknie miłośnie...
Wy niebiańskie oczy w górze,
Ach, wypłaczcie się w mą duszę,
By od jasnych łez gwiaździstych
Przepełniła się ma dusza.

* *
*

Morskie fale mnie kołyszą,
Senne myśli mnie kołyszą,
A ja leżę w mej kajucie
Na cienistem, cichem łożu.
Przez otwarte patrzę okno
W górę, tam na jasne gwiazdy,
Na kochane słodkie oczy
Mojej słodkiej ukochanej...
Te kochane słodkie oczy
Pełnią straż nad moją głową,
I mrugają i wołają
Mnie — z bladego niebios sklepu.

Na to blade nieb sklepienie
Patrzę szczęsny, długo — długo —
Póki biały, mglisty tuman
Nie zakryje lubych oczu...

* *
*

W drewnianą ścianę okrętu,
Gdzie głowę senną oparłem,
Biją fale, wściekłe fale, —
Tajemniczo mi do ucha
Mruczą, szepcą wciąż:

„O, głupi nasz przyjacielu!
Twe ramię jest krótkie, a niebo dalekie,
A gwiazdy te w górze są mocno przybite
Do nieba złotemi gwoździami;
Daremne westchnienia! daremna tęsknota!
Najlepiej, najmędrzej byś zrobił, kochanku,
Gdybyś obecnie — spał!"

* *
*

Śniłem o wielkiej, dalekiej pustyni,
Białym i cichym śniegiem powleczonej;
Pod białym śniegiem leżałem pogrzebion
I spałem zimnym, samotnym snem śmierci.

A z tajemniczych niebiosów patrzały
Na dół, na grób mój gwiaździste te oczy...
Słodkie te oczy! — błyszczały zwycięzko
Z cichą radością, lecz miłości pełne...

Mądre gwiazdy.

Kwiatki, niw dziatwo! — noga tak łatwo
Zabiera wam życie krótkie:
Idzie się drogą i depce nogą
Wyniosłe, jak i skromniutkie.

Perły! leżycie w głębinach skrycie...
Lecz człek was znajdzie w mozole:
Wierci się dziurka; na jedwab' sznurka
Perła wprzęgnięta w niewolę!

O mądre gwiazdy! dla waszej jazdy
Macie szlak od nas daleki!
Na niebios szczycie dumnie świecicie
Bezpieczne przeto na wieki!

Do aniołów.

To Tanatos! To straszny zgon!
Na szarym koniu pędzi on:
Słyszę miarowy kopyt dźwięk
I kosy świst i ostróg szczęk!
Posępny jeździec z krain snu
Za parę chwil już będzie tu.
Wyrwie mnie ztąd, — Matyldę rzucić muszę!
Ta straszna myśl rozdziera moją duszę!

Matylda mi przez długi czas
Żoną i dzieckiem była wraz...
Więc gdy się w mrok zasuwam oto, —
Zostanie wdową i sierotą!
Porzucę samą na tym świecie
Ach, żonę mą, to drogie dziecię,
Co, wierząc w moc opieki mej nadmiernie,
Do piersi mej tuliło główkę wiernie.

Aniołów chórze! w niebie racz
Usłyszeć mój błagalny płacz,
I gdy mnie zamknie chciwy grób,
To jedno tylko dla mnie zrób:

Opieką, tarczą bądź kobiecie,
Którą kochałem na tym świecie...
O, broń i chroń Matyldy biednej życie...
Anieli! w niej wszak macie swe odbicie...

Jeśli was wzruszał ludzki ból,
Na wasze łzy, na łez tych sól,
Na owe słowo z duszy dna,
Które jedynie kapłan zna,
Które wymówić ledwie śmie,
Kiedy istotą całą drgnie,
Na niebios blask, na piekieł żar,
Na waszych wdzięków wieczny czar,
Na dobroć tę, co przez was rany koi, —
Zaklinam was: Matyldy brońcie mojej!

Ona zagasa.

Zasłona spada, już po widowisku;
Do domów spieszy dam i panów rzesza:
Kontenta z sztuki... No, to mnie pociesza:
Wywoływany byłem po nazwisku!
Zacna publika, — to z jej strony wiele, —
Oklaskiem wdzięcznym dziś uczciła wieszcza,
Lecz teraz w gmachu cisza trwa złowieszcza,
Pogasły światła i zmilkło wesele!

Lecz słuchaj!... nuta zgrzytliwa, urwana,
W pobliżu pustej sceny naraz jękła:
Na starych skrzypcach pewnie struna pękła,
Struna, przez pieśni i przez czas stargana.
Szukając chciwie a próżno zdobyczy,
Gromada szczurów smyrga po parterze,
Czuć zgniły olej w dusznej atmosferze,
Ostatnia lampka jeszcze stęka, syczy...
Aż beznadziejne, biedne światło gaśnie:
Tem światłem była... moja dusza właśnie!

Goethe

Epigramaty.

Wenecyja 1790 r.

Jak strwoniłem wraz
I pieniądze i czas,
Ta książeczka wesoło
Pouczy was.

1.

Sarkofagi i urny tchem życia ozdabiał poganin:
Tańczą fauny wkrąg, z bachantkami w pstre
[zbici szeregi;
Koźlonogiego grajka nadęte jak bania policzki
Głuchy ton dobywają z dźwięcznego rogu gar-
[dzieli,
Brzmią cymbały i bębny; wraz widzisz i słyszysz
[ten marmur.
Ptak na skrzydłach się waży, soczysty owoc
[dźwigając.

Żaden dźwięk go nie płoszy, jak żaden nie spło-
[szy Amora,
Co w jaskrawym tym tłoku radośniej pochod-
[nię podnosi.
Tak obfitość śmierć przezwycięża; i popiół tam
[wewnątrz,
Zda się, w zamknięciu zacisznem tem życiem się
[jeszcze raduje.
Tak niechaj kiedyś się wije i wkrąg sarkofagu
[poety
Zwitek ten, dzięki mu życiem bogatem i pięk-
[nem dyszący.

2.

Tylko co nieba strop zabłękitniał i słońce za-
[błysło
Ponad skał wierzchołkami, strojnemi w bluszczu
[girlandy,
Tylko co wieśniak jął winne gałązki na palach
[upinać, —
Już z nad Wirgila kołyski nadleciał wiaterek
[łagodny:
Muzy zbliżyły się do mnie, przyjazną podjęły
[rozmowę,
Ową urwaną rozmowę, najmilszą dla uszu wę-
[drowca.

3.

Ciągle tulę najdroższą, w tych chciwych ramio-
[nach zamkniętą,
Ciągle serce spragnione do piersi jej mocno
[przyciskam,
Ciągle głowę miłośnie na lubych kolanach opie-
[ram,
Ciągle oczy do oczu i usta do ust jej podnoszę.
„Jakto?! — złają mnie ludzie — tak pędzisz swe
[dni, niewieściuchu!“
Ach, ja źle je przepędzam! Słuchajcie, co dzieje
[się zemną:
Życia radość jedyną, niestety, mam teraz za sobą.
Oto dzień już dwudziesty śród kurzu się wlokę
[w powozie,
Kłócą się ze mną woźnice, pochlebia właściciel
[gospody,
Sługus, podając mi jadło, obmyśla oszustwo
[zyskowne.
Pragnę uniknąć ich rychło, aż pocztmistrz mnie
[chwyta w uściski,
Każdy pocztylion mym panem i każdy z celni-
[ków w dodatku.
„Cóż to za sprzeczność — wołacie — zrozumieć
[twych słów niepodobna!
W raju spoczywać się zdałeś, jak nowy Rinaldo
[szczęśliwy!“

Ach, ja rozumiem się dobrze: me ciało jest tylko
[w podróży,
Duch bezustannie w oddali na łonie najdroż-
[szej spoczywa.

4.

Włochy zostały już za mną. A wciąż jeszcze
[kurzą się drogi,
Wciąż przejezdnego zdzierają pomimo zabiegów
[opornych.
Tu rzetelności niemieckiej napróżnobyś szukał
[gdziekolwiek
Znajdziesz ruch i działalność; nie znajdziesz
[karności, porządku.
Każdy dba tu o siebie, drugiemu nie ufa, jest
[próżny,
A i sternicy państwowi jedynie o siebie się
[troszczą,
Piękny to kraj; lecz ach! Faustyny tu niema,
[niestety!
Włochy zostały już za mną i wkradła się w ser-
[ce tęsknota.

5.

Leżąc w gondoli, wpłynąłem pomiędzy szeregi
[okrętów.
Co ładowne odjazdu na wielkim kanale czekają.

Mnóstwo tu różnych towarów dla mnóstwa po-
[trzeb przeróżnych·
Wino, pszenica, jarzyny i drwa i gałązki le-
[ciuchne.
Szybko ślizgałem się środkiem; aż lauru gdzieś
[krzew wystający
Szorstko mnie smagnął po licu: „Obrażasz mnie,
[Dafne?! krzyknąłem —
Raczej nagrody czekałem!“ A nimfa mi szepnie
[z uśmiechem:
„Lekko grzeszą poeci, więc lekką masz karę.
[Jedź dalej!“

6.

Widząc pielgrzyma, wzruszony, ja łez powstrzy-
[mać nie zdołam:
Szczęściem obdarza nas tak fałsz przeko-
[nań i błąd.

7.

Jedną miałem kochankę, nad wszelkie skarby
[najdroższą,
Dzisiaj nie mam jej już. Milcz więc i stratę
[swą znoś·

8.

Niby kolebka dziecięca śród fal się kołysze
[gondola,
Czarna skrzynia ta na niej do trumny prze-
[stronnej podobna.
Dziwnie trafne! toć między kolebką i trumną
[podobnież
Ludzie się chwieją i wiszą, wędrując po życia
[kanale.

9.

Kędy pędzi ten lud tak i krzyczy? On chce się
[wyżywić,
Dzieci wydawać na świat i one wykarmić naj-
[lepiej.
Uważ to dobrze, wędrowcze, i w domu postę-
[puj podobnie:
Wyżej nie wzniesie się człek, pomimo najwyż-
[sze wysiłki.

10.

Niechaj marzyciel ma uczniów obficie, jak piasku
[morskiego;
Piasek — piaskiem; moją bądź, perło, rozumny
[ty druhu!

11.

Obraz kraju w kowadle tem widzę, a władcę
[w tym młocie;
Zaś do blachy, co w środku się kurczy, ja
[lud porównywam.
Biada biednej tej blaszel — gdy ciosy swawol-
[nie padają,
Biją po niej niepewne i kotła urobić nie zdolne.

12.

Mnóstwo ma uczniów marzyciel, on masy po-
[ciąga i wzrusza,
Kiedy rozumny mąż pojedyńczych przyjaciół
[naliczy.
Tak cudotwórcze obrazy—najczęściej to złe ma-
[lowidła;
Dzieła geniuszu i sztuki nie mają powabu dla
[tłumu.

13.

Niechaj się władcą uczyni, kto swoje rozumie
[korzyści.
Myśmy tego obrali, co nasze korzyści pojmuje;

14

Pielgrzym pilnie wędruje! A znajdzie-ż świętego
[u celu?
Czyli tego, co słynął cudami, zobaczy, usłyszy?
Nie, gdyż czas go już zabrał oddawna: on znaj-
[dzie na miejscu
Ledwie resztki: przegniłe kości i czaszkę świę-
[tego.
My, co Italii szukamy, i myśmy wszyscy piel-
[grzymi,
Tylko szkielet strzaskany z radością i z wiarą
[wielbimy.

15.

Juppiter Pluwius, dziś jako bóstwo się zjawiasz
[przyjazne,
Bo szczodrobliwa twa dłoń mnogi użycza
[nam dar:
Napój daje Wenecji, krajowi — roślinność zieloną,
Nowy, maleńki ten wiersz daje książeczce
[mej wraz.

16.

Bogi, głosiliście często, że przyjaźń dla wiesz-
[cza żywicie;
Dajcie więc, czego mu trzeba! O, nic wymyśl-
[nego, lecz wiele:

Dajcie mu miłe mieszkanie i jadło niezgorsze
[i napój
Dobry; śmiertelnik zna wartość nektaru, jak wy,
[o Bogowie!
Dalej odzież przystojną, przyjaciół dla gawęd
[poufnych,
Na noc nareszcie kochankę, co całem go sercem
[pożąda.
Pięć naturalnych tych rzeczy ja pragnę mieć
[przedewszystkiem.
Dajcie mi jeszcze znajomość mów starożytnych
[i nowych,
Abym przemysł i sprawy wszelkich narodów
[zrozumiał.
Dajcie mi czyste uczucie, bym pojął utwory ich
[sztuki,
Ludu szacunek, a wpływ u potężnych łaskawie
[mi dajcie,
Albo też inne z dóbr ludzkiemu losowi właściwych.
Dobrze — dzięki wam bogi: ot mąż najszczęśliw-
[szy już stoi,
Prawie gotowy: mnie to nieledwie to wszystko
[już dano.

17.

Czem-że jest życie człowieka?!... A przecie mogą
[tysiące
Mówić o nim, czem był, co on czynił i jak.

Mniej jest pieśń; lecz mogą tysiące rozkosze
[z niej czerpać,
Inne przyganiać zaś jej. Bracie, żyj więc
[i twórz!

18.

Piewcą być—dobre rzemiosło, szkoda, że nieco
[za drogie,
W miarę, jak rośnie książeczka, cekinów ubywa
[mi z kiesy.

19.

Zawsze wolności prorocy budzili wstręt w mo-
[jej duszy,
Każdy z nich w końcu okazał, że własnej li
[chciał samowoli.
Chciałbyś wielu uwolnić, wprzód odważ się
[sługą być wielu:
Trud niebezpieczny to wielce! Nie wierzysz?
[Poprobuj go tylko.

20.

Losy Francyi posępne! — rozważań wielkich
[umysłów
Wyście godne zaiste, lecz małych rozwagi god-
[niejsze

Wielkich w przepaść zepchnięto! Któż tłumy
[naówczas obraniał
Przeciw tłumom?... I oto tłumowi tyranem był
[tłum!

21.

„Czyliż nie słusznie czynimy? My musim ten
[tłum oszukiwać,
Obacz—że, jak on niezręczny; jak dziki, przy-
[patrz się tylko“.
Prosty człowiek, zwodzony, niezręcznym i dzi-
[kim być musi;
Bądźcie jedno rzetelni i tak do ludzkości go
[wiedzcie!

22.

Cenny swój obraz na miedzi, zaledwie srebrzo-
[nej powierzchu,
Książe częstokroć wybija i naród się daje oszu-
[kać.
Stempel geniuszu fantasta na kłamstwie i głup-
[stwie wyciska.
Bierze za złoto je ten, co nie zna kamieni pro-
[bierczych.

23.

Czy epigramat jest dobry? A kto to może roz-
[różnić?
Nigdy się nie wie napewno, co urwis autor miał
[w myślach.

24.

„Gdybyż być domu gosposią, a mieć na po-
[trzeby najpierwsze,
Byłabym wierną, wesołą, do serca tuliłabym
[męża!“
Tak pośród gminnych piosneczek śpiewała mi
[dziewka w Wenecyi,
A pobożniejszej modlitwy jam nigdy dotąd nie
[słyszał.

25.

Boski Morfeusz napróżno potrząsa miłą makówką:
Przecie czuwa me oko, dopóki go Amor nie
[przymknie.

26.

Miłość i żądzę przelewasz w mą duszę; ja ko-
[cham i płonę.
Teraz, luba dzieweczko, ufności przelej w nią
[trochę.

27.

Znam cię dobrze, Amorku! Nikt nie zna cię le-
[piej odemnie,
Niesiesz przed nami pochodnię, wesoło rozświe-
[casz ciemności,
Tak nas niebawem wprowadzasz na kręte ścieżki
[i właśnie
Tam, gdzie pochodnia najbardziej potrzebna, ty
[gasisz ją zdradnie.

28.

Jeśli to seryo, nie wahaj się dłużej, szczęśli-
[wym mnie uczyń,
Jeśli to żarcik, ja sądzę, że dosyć już żartów,
[dzieweczko.

29.

W szarej poranku pomroce na szczyt się wdra-
[pywać najwyższy,
Gwiazdę poranną, tę dzienną zwiastunkę, naj-
[wcześniej powitać,
Czekać z najżywszą tęsknotą na władcy niebio-
[sów spojrzenie —
Było młodzieńczą uciechą, co z domu mnie w noc
[wywabiała.

Dnia zwiastunami obecnie są dla mnie oczęta
[niebiańskie
Mojej kochanki, i słońce to zawsze za wcześnie
[mi wstaje.

30.

Morze zdaje się płonąć. Zdumiony wskazujesz
[mym oczom,
Jak śród fal gorejących nasz nocny kołysze
[się statek.
Mnie to wcale nie dziwi, toć z morza wszak
[Afrodyte,
Z niej zaś zrodził się malec, co cały jest jednym
[płomieniem.

31.

Ach, odjeżdża me dziewczę! Na okręt wsiada!
[Eolu,
Księciu potężny, powstrzymaj burze i wiatry twe
[spętaj!
Głupiś! odrzekł mi bóg, nie lękaj się burz sza-
[lejących.
Drżyj przed lekkim powiewem, gdy Amor po-
[ruszy skrzydłami.

32.

Często w życiu błądziłem i znowu się odnalaz-
[łem,

Przecie nigdy szczęśliwszym! Dziś szczęściem
[mem oto to dziewczę.
Jeśli to także jest błędem, oszczędźcie mnie,
[mędrsi bogowie,
Błąd ten zabierzcie mi wówczas, gdy stanę na
[brzegach Letejskich.

33.

Smutną dolę miał Midas. Ów starzec nieszczę-
[sny zgłodniały,
Ledwie wziął strawę do rąk, ciężar stward-
[niały już czuł.
Ze mną w podobnym przypadku łagodniej obesz-
[ły się bogi.
Czego ja ręką swą tknę, piosnką zwinną
[jest wnet.
Muzy pięknel nie gniewam się o to, niech tylko
[ma luba
Gdy jej przypadnę na pierś, nagle nie zmie-
[ni się w baśń.

34.

„Ach, moja szyjka nabrzmiała cokolwiek!“ za-
[woła najdroższa;
Zdjął ją niepokój. Bądź cicho, me dziecię i słów
[mych wysłuchaj.
Wenus cię ręką swoją dotknęła; cichutko wska-
[zuje,

Że twe ciałko już wkrótce ach! nieubłaganie się
[zmieni:
Wkrótce się smukła kibić zepsuje i piersi wy-
[tworne.
Wszystko pełnieje; najnowsze sukienki paso-
[wać już nie chcą.
Bądź spokojna! Gdy kwiaty spadają, ogrodnik
[wesoło
Wróży, że miły owoc przepysznie się uda w je-
[sieni.

35.

Wielka rozkosz — najdroższą mdlejącem opasać
[ramieniem,
Gdy bijące jej serce wiosenną ci miłość wy-
[znaje;
Większa rozkosz — uczuwać gdzieś w głębi
[łona najdroższej
Ruch maleńkiej istoty, w najpierwszem żywota
[zaraniu;
Zda się sił swych próbuje i skoków swywolnej
[młodości.
Zda się puka gwałtownie, by wyjrzeć na światło
[niebieskie.
Czekaj jeszcze dni parę! Na wszystkich ścież-
[kach żywota
Hory surowe prowadzić cię będą, jak chce prze-
[znaczenie.

Niechaj cię spotka, co musi, pieszczochu mój
[wzrastający —
Miłość stworzyła cię; miłość niech będzie więc
[twoim udziałem.

36.

Tak-em się bawił, od miłych przyjaciół znajdu-
[jąc się zdala,
W owym grodzie neptuńskim tak dni i godziny
[spędzałem.
Wszystko, czegom doznawał, tom słodkiem
[wspomnieniem zaprawił,
Słodką zaprawił nadzieją; najlepsze to świata
[przyprawy!

Elegie.

1.

Słówko rzeknijcie, kamienie; powiedzcie, wyso-
[kie pałace!
Przemów, ulico! Ty, zbudź się, geniuszu
[z snu!
Prawda, wszystko w tych świętych murach
[natchnione jest życiem;

Dla mnie jedynie Rzym cichym, milczącym
[jest.
O, któż powie mi wreszcie, w okienku którem
[zobaczę
Cudne stworzenie to, co ożywiło mnie tak?
Dotąd nie zgadłem—że ścieżek, po których błą-
[dząc i błądząc
Ku niej i od niej chcąc iść, drogi poświę-
[cam czas?
Jeszcze oglądam kościoły, pałace, zwaliska, ko-
[lumny,
Jako rozważny mąż czerpie z podróży zysk.
Lecz to przejdzie niedługo; zostanie jedyna
[świątynia,
Jeden Amora chram: wejdę poświęcon weń.
Wprawdzie, całym tyś światem, o Rzymie, lecz
[bez miłości
Nie byłby światem świat, Rzymem nie byłby
[Rzym.

2.

Tu na ziemi klasycznej wesoło się czuję nat-
[chnionym:
Świat dzisiejszy i przeszły powabniej i głośniej
[tu mówi
Tutaj słucham rad, starożytnych dzieła prze-
[rzucam

Z coraz to większem zajęciem, z codzień wzra-
[stającą rozkoszą.
Ale nocami Amor na inny mnie sposób zajmuje;
Chociaż na pół tylko uczy, w dwójnasób mnie
[uszczęśliwia
Bowiem, czyż się nie uczę, gdy miłej piersi do-
[tykam,
Badam kształty i dłonią błądzę po łonie roz-
[kosznem?
Wówczas marmur pojmuję dopiero, zestawiam
[i myślę,
Widzę czującem okiem i czuję ręką widzącą.
A gdy czasem luba mi z dnia parę godzin
[ukradnie,—
By powetować tę stratę, oddaje mi nocy go-
[dziny.
Toćże nie wciąż się całujem, mówimy także ro-
[zumnie:
A gdy sen ją ogarnia, ja leżę i wiele rozmy-
[ślam.
Nieraz już także, w objęciach ją tuląc, stwarza-
[łem poezye,
I heksametru miarę cichutko palcami mej ręki
Na jej plecach liczyłem. Oddycha w wdzięcz-
[nem drzemaniu
A jej oddech żarem do mojej piersi przenika.
Amor tymczasem roznieca swą lampkę i myśli
[o czasach,

Kiedy tę samą przysługę swym tryumwirom
[oddawał.

3.

Wszystkie dziewięć wabiły mnie często (mam
Muzy na myśli).
Jam lekceważył je, dziewczę przy łonie jam
[miał.
Dziś porzuciłem mą lubę, i wraz porzuciły mnie
[Muzy,
Więc niepokój mnie zdjął, szukam, gdzie stry-
[czek, gdzie nóż.
Ale Olymp pełny jest bogów; przybywasz mnie
[zbawić,
Nudo! o matko muz, ty pozdrowioną mi bądź!;

4.

Martwić serce, co kocha, a musieć milczeć
[straszniejszych
Nikt nie wynajdzie mąk, i Radamantes sam.

5.

Czemuż jestem znikomą, o Zeusie, tak piękność
[pytała.
Toć uczyniłem pięknem jedynie znikome, tak
[Bóg rzekł.

6.

Chłopcze, zapal-no światło! — „Wszak jeszcze
[jest jasno. Pan niszczysz
Olej nadarmo i knot. Sklepów nie zamknął
[nikt!
Słońce za domy się skryło, za góry jeszcze nie
[zaszło.
Jeszcze godzinki pół, zanim zadzwonią nam
[noc.“
Idź nieszczęsny i słuchaj! Ja czekam na moją
[dzieweczkę.
Lampko, pocieszaj mnie, nocy zwiastunie świeć!...

Król w Thule.

Był król raz, wierny w kochaniu
Aż do wiecznego snu;
Kochanka przy skonaniu
Złoty kubek dała mu.
Nad wszystko król go cenił,
Na każdej uczcie miał.
Gdy napój w nim się pienił,
Głos króla ćmił się, drżał. —

Gdy przyszła chwila zgonu,
Król wszystkie skarby swe
Następcy zdaje tronu;
Jednego kubka — nie!
W wysokiej przodków sali
Ucztuje król, pół-trup;
Dworzanie w krąg wspaniali,
A morze wre u stóp.
Tam starzec pił; ostatni
Żar życia w ustach czuł:
I kubek święty, bratni,
Upuszcza naraz w dół.
I patrzył, jak on spada,
Jak tonie w głębi mórz...
Na oczach sen osiada:
Ni kropli nie pił już!

Panicz i młynarka.

Panicz.

Dokąd, dokąd tak szparko,
Moja piękno młynarko,
Aż zakwitły róże na obliczu?
Jak cię zowią?

Młynarka.

Marysią, paniczu.

Panicz.

Przecz tak biegłaś drożyną?
Próżno wołam i wabię...
Dokąd spieszysz, dziewczyno,
Po co niesiesz te grabie?

Młynarka.

Ten pośpiech to nie swawola. .
W ojcowe idę pola,
Do ojcowych łąk...

Panicz.

I tak idziesz samiutka?

Młynarka.

Boć to brak mi rąk?
Grabie wzięłam do siana...
Zajrzę i do ogródka.
Gruszki moje dojrzały,
Będzie zbiór doskonały.

Panicz.

Jest tam jaka altana?

Młynarka.

Nawet dwie, po obu rogach.

Panicz.

Dziewczę, po twoich drogach
Pospieszę ku tobie...
A w gorącej południowej dobie
Skryjemy się tam oboje...
Nieprawdaż, dziewczę moje,
W zielonej poufnej altanie...

Młynarka.

O, stądby poszły plotki, panie!

Panicz.

W pieszczotliwym liści cieniu,
Wypoczniesz na mojem ramieniu?

Młynarka.

O! nie, nie! — ślicznie dziękuję. .
To, paniczu mój, bieda,

Że kto piękną młynarkę całuje,
Zaraz z miejsca się wyda:
Tak, tak, młody panie,
Bardzo by mnie bolało,
Twoje ładne, ciemne ubranie
Umalować na biało...
Równy z równym! to słuszne jedynie!
Tak się żyło i z tem niechaj się zginie.—
Kocham sobie parobczaka z młyna;
Ten to mi pasuje:
Na nim nic nie zepsuje
Młynarska dziewczyna!

We łzach pociecha.

— Zkąd twój smutek, ach, pozwól zapytać —
Gdy w krąg wszystko weselem oddycha?
Z twoich oczu to łatwo wyczytać,
Że płakałeś w ukryciu i ścicha...

„Jeślim płakał pocichu i skrycie,
„Do mnie tylko ta boleść należy.
„Słodkie łzy niechaj płyną obficie,
„Po łzach lżej jest na sercu i świeżej".

— Towarzysze cię proszą weseli:
Na ich łono gorące pójdź bracie,
Sercu lżej, gdy się smutkiem podzieli,
Im opowiesz o ciężkiej swej stracie.

„Zaprzestańcie tych rad, nie zgadniecie,
„Zkąd pochodzić cierpienia me mogą.
„Bo ja nic nie straciłem, a przecie
„Niedostatek dokucza mi srogo.“

— Więc sam w sobie poszukaj pomocy,
Nie przystoi młodości twej żałość:
W twoim wieku nie braknie wszak mocy,
Do zdobyczy posiada się śmiałość.

„O zdobyczy tu śnić nadaremnie,
„Próżną wiarą nie łudzę ja siebie:
„*To* wysokie, dalekie odemnie
„I tak świetne, jak gwiazdka na niebie.“

— Gwiazdek, bracie, pożądać nie trzeba,
Lecz się cieszyć świetności ich mocą
I z zachwytem spoglądać do nieba,
Gdy wspaniale zaiskrzą się nocą.

„O ja patrzę z zachwytem czasami
„I te dni dla mnie zawsze są błogie...

„Lecz mi płakać pozwólcie czasami,
„Póki jeszcze napłakać się mogę.“

* *
*

Powiedz czemu tak często, Ty, najdroższe me
[dziecię,
Ty, tak bliska mym myślom, obcą mi jesteś
[przecie?
Gdy się razem znajdujem śród mnóstwa różnych
[ludzi,
Jakby przepaść nas dzieli i ból się we mnie
[budzi
Lecz kiedy noc i cisza w około nas nastaje,
Po pocałunkach twoich na nowo cię poznaję!

Letarg.

Płaczcie dziewczęta tutaj, tutaj nad grobem
[Amora...
Zmarł z drobnostki, z niczego, on, co swawolił
[tak wczora!

Lecz czy istotnie jest martwy? O, nie zaręczę
[ja głową;
Nic, drobnostka, najczęściej budzi go ze snu
[na nowo!...

* *
*

O, tylko ten, co cierpiał sam
Zrozumie moje cierpienia!
Współczuciem mnie nie darzy nikt,
Nigdzie miłości ni cienia,
Jednakże ślę w błękity wciąż
Nadziei korne spojrzenia.

Ach, kiedyż z tą, co kocha mnie,
Nadejdzie chwila widzenia?
Ja czekam jej, a serce me
Płomienne szarpią marzenia.
O, tylko ten, co cierpiał sam,
Zrozumie moje cierpienia!

Nauka katechizmu.

Nauczyciel.

Zkąd masz to wszystko, pomyśl, dziecię,
Sam sobie nic nie dałeś przecie...

Dziecko

To dał mi ojciec, dała matka.

Nauczyciel

Lecz ci zkąd mieli, zkąd?

Dziecko.

Od dziadka.

Nauczyciel.

Et nie! Ach, cóż z tym malcem zrobię?!
Zkąd dziadek miał?

Dziecko.

On sam wziął sobie!

Prawidła życia.

Chcesz żyć przyjemnie, słodko, bosko?
Przeszłości nie budź wspomnień troską,
Humoru nie daj sobie burzyć,
Teraźniejszości umiej użyć,
Pozbądź się złości względem wroga,
A przyszłość porucz rękom Boga.

Genialne rzemiosło.

Nie odpoczywam ni troszeczkę,
Jak Dyjogenes tocząc beczkę
Poprzez życiowych dróg pochyłość:
Oto nienawiść — to znów miłość
Powaga tu — tam żart nanowo,
Dzisiaj jest to, — a jutro owo:
Przemienia miejsce beczki oś:
Niby to nic — i niby coś...
Nie odetchnąwszy ni chwileczkę,
Jak Dyjogenes toczę beczkę.

Śmierć muchy.

Zdradziecki napój ssać poczęła chciwie;
Przed słodką wędką już jej nie ocalisz:
Czuje się dobrze, cieszy się prawdziwie,
Choć lekkie nóżki dotknął już paraliż;
Nie dość już sprawne, by skrzydełka czyścić,
Nie dość już zręczne, główkę chcąc poprawić,
Nie dość obrotne — plan podróży ziścić, —
Użyciu — życie tak sądzone strawić!
Zaledwie może stać — lecz niezna tamy,
Wciąż chciwie ssie, i tak śród uczty samej,
Nadchodzi śmierć, co czycha niedaleka,
I drobne oczka muszki mgłą powleka.

Różne groźby.

Moje dziewczę poszło sobie w las bliski,
A ja za nią poprzez polną grzędę
Skoczę ku niej; pochwyciłem w uściski, —
Ona grozi: ej, ja krzyczeć będę.
A ja na to wrzasnę w głos między buki:
„Niech tu przyjdzie kto! rozerwę na sztuki“.

— Luby, szepnie, zlituj się, mów ciszej,
Bo cię jeszcze może kto usłyszy.

Starość.

Starość jest nader grzeczną damą,
Puka raz po raz, tak potrosze,
Ale że nikt nie mówi „proszę“,
Nie może przeto stać przed bramą:
Otwiera ostro, wchodzi w domek..
Ztąd grubijanki ma przydomek.

Przykład.

Jeśli się kiedy niecierpliwię,
O cierpliwości ziemi myślę:
Ta wciąż się wierci, i rok rocznie
Jednaki krąg zatacza ściśle...
A na cóż jam wziął życia brzemię?
Trza naśladować matkę — ziemię

Oryginalni.

Ktoś rzekł: mnie żadna nie wydała szkoła,
Przed żadnym z mistrzów nie uchylam czoła,
Przed żadnym z mistrzów nie uderzam czołem,
Żywi czy zmarli — nic od nich nie wziąłem!
Jeżelim dobrze pojął tę piosenkę,
Brzmi to: jam dureń na swą własną rękę.

Nieprzezwyciężone.

Przysięgałem jawnie, skrycie,
Gardzić wiecznie flaszki władzą,
Jednak czuję nowe życie,
Gdy mi na nią patrzeć dadzą.
Wszystko cudną w niej ponętą:
Kryształ szkła, purpury zdrój,
Niechby korek wyciągnięto,
Flaszka pusta — jam nie swój

—

Przysięgałem jawnie, skrycie
O niewiernej pamięć zatrzeć;

Jednak czuję nowe życie,
Gdy pozwala w oczy patrzeć.
Nie uniknął (patrz w kronice)
Mąż silniejszy — losów złych...
Ach, Dalilo, twe nożyce
Czuję wiecznie w włosach mych.

Szyller.

Hektor i Andromacha.

Andromacha.

Czemu Hektor w środek walki bieży,
Gdzie Achilles krwawą dłonią szerzy
Za Patrokla — śmierć w szeregach wrogów?
Kto nauczy syna nosić zbroję
I do nieba wznosić modłów roje,
Gdy ty znikniesz u Hadesu progów?...

Hektor.

Przestań łzy lać, moja droga żono!
Żądzą walki kipi moje łono,
Ja Pargamu będę bronił stale...
Będę walczył za drogą krainę
I zbawiwszy swą ojczyznę, zginę
I ulecę ponad Styksu fale.

Andromacha.

Już nie będziesz błyszczał w wojsk swych
[rzędzie
I w niewoli miecz twój rdzewieć będzie
I wygaśnie ród Pryjama zdradnie...
Będziesz odtąd błądził w tej krainie
Gdzie Kocythus z głuchym jękiem płynie
I Hektora miłość w Letę wpadnie!

Hektor

Cały żar mój, myśli i dążenia
Zleję falą rzeki zapomnienia,
Lecz nie ogień miłości...
Ha! u wrót już słyszę broni dźwięki,
Daj mi miecz mój i powstrzymaj jęki:
Niema Lety dla mojej miłości.

* *
*

Czyliż to dziwne zjawisko przez wszystkie po-
[wtarza się wieki,
Że młodymi są starcy, a tylko młodość jest
[starą.

Dytyramb.

Nigdy samotnie nie schodzą bogowie
Zaszczycić nas:
Ledwie co Bachus wesoły przyleci,
Zaraz i Amor uśmieszkiem zaświeci,
Febus wspaniały przybywa z nim wraz.
  Już schodzą się, płyną z światłością na czole;
  Stanęli bogowie na ziemskim padole.
Nieba mieszkańcom czyż może syn prochów
Dać jaki dar?
Czem rozporządza śmiertelnik ubogi?
Wy, wieczny żywot darujcie mi, bogi!
Dajcie mi ujrzeć niebiosów swych czar!
  Bo radość jest w Zeusa pałacach jedynie...
  Bogowie! niech nektar do czary mej spłynie!
„Hebe! weź czarę; nektaru poecie
„Nie szczędźże tam!
„Udarz go płynem czarownym obłoków,
„Niechaj nie widzi Styksowych potoków,
„Niech sobie marzy, że bogiem jest sam!"
  I pieni się nektar Olimpu wysoko;
  I pierś już spokojna, rozjaśnia się oko...

L e n a u.

Niema miłość.

Daj mi, piękna, żyć przy Tobie,
Daj w oblicze patrzeć jasne:
Niech pod czarem spojrzeń Twoich
Cicho spłonę i zagasnę.

Tak pobożne lampki światło
Płonie, gasnąc w ciszy wonnej,
Przed obliczem przecudownem
Przenajświętszej tej Madonny.

Powitanie wiosenne.

Długa zima przeszła — błogo dziś na świecie!
Wczesny fiołek, żebrząc, podaje mi dziecię.

Ach, jak to boleśnie pierwszy ukłon wiosny
Dostać z ręki nędzy, z ręki nieradosncj!
Jednak pięknych dni ta miła obietnica
Z drżącej dłoni nieszczęść bardziej mnie za-
[chwyca;
Tak potomkom naszym naszych dni znękanie
Lepszych czasów wiosny składa powitanie.

Tęsknota za zapomnieniem.

Lethe, rozbij łańcuchy wybrzeży kamiennych,
Przerzuć falę mi tutaj z umarłych krainy!
Niech na zgubę męczarni mych nocy bezsen-
[nych
Balsam wód Twych wypiję, — ten balsam je-
[dyny!...

Wiosna idzie z zapachem, miłością i śpiewem...
Pragnie serce me skąpać w upojeń swych
[szale...
Na nic!... cofa się serce przed wiosny powie-
[wem...
Serce zmienione!... Lethe, przysyłaj swą falę!

P o r y c k i.

Lampka rocznicy.

Pieśń monotonna, jękliwa pieśń,
Północną przerywa ciszę;
Młoda żydówka, tonąc we łzach,
Pustą kolebkę kołysze.

Lampkę rocznicy zapala wraz,
Do piersi czule ją ciśnie,
Jak gdyby zmarłą dziecinę swą, —
I twarz jej szczęściem zabłyśnie.

Łzawa twarz matki błogością tchnie:
Szał niesie ulgę jej doli; —
Maleńka lampka pije jej łzy,
Syczy i gaśnie powoli.

I coraz ciemniej... I oczy gwiazd
Do okien patrzą złowieszcze...
Blada żydówka stoi tam wciąż
I płacze i śpiewa jeszcze...

Uwaga: W pośmiertnych papierach Henryka Heinego między innemi „odpryskami myśli, obrazami i barwnemi linjami“ znajdujemy następującą notatkę: „Obłąkana żydówka w rocznicę śmierci dziecka kołysze w rękach pamiątkową lampkę“. Ten poetyczny a posępny obraz natchnął jednego z młodych poetów niemieckich do powyższego wiersza.

Hölderlin.

Ongi i dziś.

W dniach młodocianych wesół byłem rano,
Pod noc płakałem: dziś, po życia wiośnie,
Świt witam twarzą zwątpieniem stroskaną,
A zmrok wieczorny wzrusza mnie radośnie.

Do Eteru.

(Heksametr)

Żaden z bogów i ludzi nie zajął się mem wy-
[chowaniem
Tak, jak Ty, o ojcze Eterze, przyjaźnie i wiernie.
Jeszcze nim matka mnie wzięła w objęcia i pier-
[sią poiła,
Tyś delikatnie mnie objął i wlałeś swój trunek
[niebieski,

Święty oddech mi wlałeś do piersi, budzących
[się życiem.
Ziemskie-li tylko pokarmy wyżywić stworzeń
[nie mogą,
Ale Ty swym nektarem wykarmiasz je wszyst-
[kie, o ojcze!
Prze i pędzi i płynie z wieczystej Twej obfitości
Duszą darzące *powietrze* przez wszystkie ka-
[nały żywota.

. . . .

Przeto istoty kochają Cię również i dążą do
[Ciebie,
Ustawicznie w górę do Ciebie w radośnem wzra-
[staniu.
O niebiański! nie Ciebież to szuka roślina swem
[okiem,
Nie ku Tobie-ż się wznosi nieśmiało krzewina
[najlichsza?
Aby Cię znaleść, ziarno rozrywa więzy łupiny;
Aby się w falach ożywczych wykąpać rozko-
[sznie,
Las otrząsa się z śniegu, jakgdyby z szaty
[ciążącej.
Nawet ryba wypływa na lśniącą stawu po-
[wierzchnię,
Skacze z pluskiem ku górze, jakgdyby i ona
[pragnęła

Z fali wznieść się ku Tobie; i ziemi szlachetne
[zwierzęta
Krok zmieniają na lot, gdy czasem gwałtowna
[tęsknota
Miłość tajemna ku Tobie ogarnia je, ciągnie ku
[górze...
Rumak ziemią pogardza, a szyję, jak stal wy-
[giętą,
Wznosi wzwyż, podkową zaledwie piasku do-
[tyka.
Jakby żartem jeleń swą stopą trawkę porusza,
Skacze, jak zefir, przez strumień, co z brzegów
[wyrywa się, pieni,
Tu i owdzie się wije, zaledwie widoczny śród
[krzaków.
Lecz ulubieńcy Eteru, szczęśliwe ptaki mieszkają
W wiecznem ojca schronieniu, gdzie zadowo-
[lone igrają!
Dość tam miejsca dla wszystkich. W granicach
[nikt nie zamknięty.
Wolno się więc poruszają w przestrzeni i wielkie
[i małe.

. . . .

Nad mą głową się cieszą. I tęskni dziwnie me
[serce,
Ku nim ku górze się zrywa... Jakgdyby przy-
[jazna ojczyzna

Coś mnie przywabia z wysoka; po Alp wynio-
[słych wierzchołkach
Chciałbym błądzić i wołać orła mknącego w po-
[wietrze,
Aby jak niegdyś szczęsnego chłopca w Zeusa
[ramiona
Tam do pałacu Eteru z tej ziemskiej mnie uniósł
[niewoli!
Głupio tutaj żyjemy; jak błędna winna gałązka,
Której złamał się pręt, co ku niebu jej wzra-
[stać pozwalał,
Myśmy tak rozpostarci na ziemi, szukamy, błą-
[dzimy
Pośród ziemskich stref, o ojcze eterze! Napróżno
Wiecznie pali nas żądza pobytu w Twoich
[ogrodach!
W morskie rzucamy się fale, na swobodniej-
[szych płaszczyznach
Chcąc się nasycić, a w koło okrętu igrają bał-
[wany:
Serce się nasze raduje z tej mocy boga mor-
[skiego...
Ale to nie wystarcza! bo głębszy nas wabi
[ocean,
Gdzie się lżejsze fale ruszają — o, ktoby do
[tamtych
Złotych wybrzeży okrętem lotniejszym popłynąć
[był w stanie?

Jednak podczas gdy tęsknię do dali, we mgle
[tonącej,
Której obce pobrzeże błękitnąś falą opasał,
Z szmerem spływasz ku mnie z wierzchołków
[drzew owocowych,
Ojcze eterze! i serce tęskniące łagodzisz mi
[słodko...
Znowu żyję z ochotą, jak przedtem, z kwiatami
[tej ziemi!

* *
*

Jasnych i ciemnych duchów mnóstwo
Śpi pod powierzchnią duszy gładką:
Całej ich nędzy, całej mocy
Człowiek jest świadom nader rzadko.

Z niemieckiego.

Ständchen.

(Muzyka Szuberta).

Cicho pieśni moje płyną,
Luba, posłuch daj:
Przybądź do mnie, ach, dziewczyno,
Tu w ten cichy gaj.
    Szumią listki w nocnej ciszy,
    Blask księżyca drży,
    Nikt nas tutaj nie usłyszy
    Więc się nie bój ty!
Śpiewa słowik, ma pieszczotko,
Słyszysz tęskny ton:
Swoją skargą cudnie słodką
Za mnie błaga on.
    On tęsknotę zna wieczystą,
    Ból miłości zna;
    Kiedy śpiewa pieśń srebrzystą
    Każde serce drga.
Niech i twoja pierś się wzruszy,
Lube dziewczę me,
Czekam ciebie z drżeniem w duszy,
Przyjdź, uszczęśliw mnie!

Z angielskiego.

Byron.

Ona stąpa.

Ona tam stąpa powiewnym krokiem,
W około siejąc czarów swych moc,
Owiana razem blaskiem i mrokiem,
Jak południowa natchniona noc.
W głębi jej oczu o dziwnej mocy
Płomień niebiański i cichy drga,
Jakiego niema w promiennej nocy,
Ni śród błogiego wdzięcznego dnia.

I gdyby jedną falę promienną,
Gdyby cień jeden dodał jej los,
Zniszczyłby piękność tę bezimienną,
Co drży śród kruczych pieszczonych kos,
Co na jej czole wyniosłem świeci,
Co opromienia anielsko skroń,

Gdzie czyste myśli niewinnych dzieci
Tajemna losu skreśliła dłoń.

Ona tam stąpa tęsknie - wesoła,
Zda się śród nieba obłocznych fal,
Z wdzięcznym uśmiechem, z krasą anioła.
Powiewną stopą podąża w dal.
Wszystko w niej piękne, słodkie i wieszcze!
I choć lic płomień widzę ja sam,
Serce dziewicze ciche w niej jeszcze,
I sama miłość — niewinną tam.

Płakałaś...

Płakałaś! a gdy łza perlista
Lazur twych oczu pokrywała,
Myślałem, że to rosa czysta
Z niebios na ziemię w dół spływała...
Zaśmiałaś się — i we wstydliwym
Dyamencie blask się wnet przysłania:
Bo z twoich oczu blaskiem żywym
Wytrzymać nie mógł porównania.

Jak słońce chmurom barwy daje,
Gdy miękim blaskiem je przenika,

Który przez cieniów nocnych zgraję
Zwalczany, nie zbyt prędko znika;
Tak ty uśmiechem swym promiennym
Wesołość w duszę tęskną wlewasz,
I światłem oczu swych wiosennym
Ściemniały smutkiem wzrok olśniewasz.

Mroczno w mej duszy.

Mroczno w mej duszy. Tam arfa leży —
    Pieśniarzu, prędzej zaśpiewaj!
Niechaj po strunach dłoń twa pobieży,
    Melodyję w serce me wlewaj.
Gdy są w mem sercu jeszcze nadzieje,
    Zbudzą je pieśni twe wieszcze;
Zastygłe oko łzą się zaleje,
    Gdy łza choć jedna tam jeszcze.

Niech pieśń twa zagrzmi, jak grom złowrogi;
    Wesołe zbrzydły mi dźwięki.
Zmuś mnie do płaczu, pieśniarzu drogi,
    Lub pierś mą rozsadzą męki.
Biedną cierpieniem karmiono nieraz,
    Cierpliwie znosiła blizny.

Czas groźny nadszedł — pełną jest teraz,
Jak kubek, pełny trucizny.

Gwiazdeczka.

O! widziałem czasami, jak gwiazdeczka nocami
Na wód szklannem zwierciedle błyszczała,
Jak drżąc w falach przeczystych, tysiąc iskier
[srebrzystych
W głębiach wody odbita rzucała.

Możesz okiem ją witać, ale nie śmiej jej chwytać;
Łudzą ciebie i blaski i fala:
Mroki cienia twojego tylko po niej pobiegą,
A odejdziesz — zabłyszczy znów zdala!

Tak światowej zabawy cień burzliwy, złotawy,
Nas pociąga i mami w złej dobie;
Ty doń bieżysz z pośpiechem — on ucieka ze
[śmiechem:
Oszukanyś — on znowu przy tobie!

Robert Burns.

Przedewszystkiem.

Biedaku! pracuj, bądź uczciwy,
O, pracuj przedewszystkiem,
Służalca spotkasz, miń go z wzgardą,
I odwróć się przed chłystkiem.
A kiedy staniesz przed wielmożnym,
Nie blednij przedewszystkiem:
Hrabiowski dyplom w gruncie rzeczy
Jest tylko marnym świstkiem.

Choć gruby kaftan nosisz, nie drżej,
Nie bądź osiny listkiem;
Cóż ztąd, że ktoś w aksamit strojny,
Gdy łotr jest przedewszystkiem.
Kto chełpi się z tytułu tylko,
Pustakiem jest i chłystkiem;

Biedak — niech tylko poczciw będzie —
Jest królem przedewszystkiem!

A niech się pyszni lord prześwietny...
Cóż ztąd, że ma on złoto,
Gdy przedewszystkiem w słowach, w czynach,
Przeraża swą głupotą!
Ha, dla nas, dzieci twardej pracy,
Herb jego przedewszystkiem
Jest tylko prochem; jego szarfa
Jest tylko barwnym świstkiem.

Lokaja w hrabię zmienić — na to
Nie trzeba wcale trudu;
Uczciwym łotra zrobić — król sam
Nie dopnie tego cudu!
Więc przedewszystkiem niech uczciwość
Nam towarzyszy wszędzie;
Honor — to tytuł nasz najwyższy
I rozum w pierwszym rzędzie.

Więc módlmy się, by Bóg wysłuchał
I dusze nam odmienił,
Ażeby oto świat nad wszystko
Uczciwą pracę cenił.
A przedewszystkiem, przedewszystkiem
Niechaj-że zawsze, wszędzie

Nie wrogiem człowiek dla człowieka
Lecz dobrym bratem będzie!

Gdzie ona rzeczka...

Gdzie ona rzeczka w morze wpada,
Gdzie stoi kwietnych drzew gromada,
Tam ten, co sercem mojem włada, —
Tam mieszka piękny tkacz.

Dziewięciu u nas bywa gości,
Bogatych panów dóbr i włości,
A każdy do mnie prawa rości, —
Me serce wziął już tkacz.

Mój ojciec liczy już, a roi
O świetnych zamkach swej dziewoi;
Bez serca nie dam ręki mojej, —
I rękę weźmie tkacz.

Dopóki kwiatek woń wydziela,
Dopóki z ziarna kłos wystrzela,
I wiosna serce rozwesela, —
Mym lubym będzie tkacz.

John Andersen.

John Andersen, mój luby,
Gdy zeszliśmy się, John —
Na czole twem był gęsty
Czarnego włosa plon.

Dziś czoło twoje łyse,
Przypruszył włosy szron,
Lecz bądź mi błogosławion
John Andersen, mój John!

John Andersen, mój druhu,
Śród różnych zmian i stron
Pod górę szliśmy razem
Pod wspólny śmiechu ton.

Dziś idziem ku dołowi,
Zejdź ze mną pod ten skłon,
Ot tam uśniemy razem
John Andersen, mój John!

Z czeskiego.

Bolesław Jabłoński.

Dziewczę bez skazy.

Piękne dziewczę! wszelkie cnoty,
Wszelkie wdzięki i przymioty
Zdobią serce twe i twarz.
Masz bogaty zwój warkoczy,
Masz urocze czarne oczy
I niewinną duszę masz!...

Lecz powiedzieć prawdę muszę:
Jedna skaza ćmi twą duszę...
— „Ach! więc wymień pan ją raz!“ —
Że mnie nie chcesz kochać, droga!
– „Ależ... wiedz pan... o, przez Boga!
Że ja... że ja... nie mam skaz!...“

Z małoruskiego.

Szewczenko.

Dumka.

Przechodzą dni, przechodzą noce,
I jesień już powietrze mgli,
Pożółkły liść gdzieś drży, trzepoce...
Me myśli śpią, me serce śpi:
Zasnęło wszystko... Nie wiem sam,
Czy jeszcze żywą duszę mam.
Zgasł oczu blask, ten czucia znak,
I brak mi łez — i śmiechu brak!

Nie cieszy nic — i nic nie boli
Los żadnej doli nie dał snać...
Lecz jeślim szczęsnej nie wart doli,
Choć złej mi czemuż nie chciał dać?
Ach, zbaw mnie Boże! serce me
Ostyga... błądzę jakby w śnie.

Czyliż dopuści wielki Bóg,
Bym zgnił, jak kłoda, pośród dróg?!

Ach, daj mi żyć, mój Stwórco Panie!
Ach daj mi sercem, sercem żyć,
Bym wielbił świat, co sił mi stanie,
Bym mógł bliźniemu bratem być!...
Niewola ciężka — strach ją znać!
Lecz straszniej: wolnym żyjąc, — spać!
Bez śladu przeżyć — wstydu szczyt!
Na jedno wtedy śmierć i byt...

Z greckiego.

Anakreont.

* * *

Pije ziemia ta hoża,
Piją drzewa z jej soków,
Piją morza z obłoków,
Pije słońce to z morza,
Pije księżyc ze słońca:
Pić — czynnością jest główną..
Przecz więc, bracia, zrzędzicie,
Gdy ja pić chcę zarówno!

Ś a f o.

*
* *

Odeszła blada Dyjanna,
Odeszły złote Plejady,
Zmieniło się niebo środkowe,
Zbliża się zorza poranna,
I wschód czatuje już blady.
I już po onej godzinie
I już po mojem czekaniu.
Samotna w zimnem posłaniu
Płonącą utulam głowę!

Z łacińskiego.

Owidyjusz.

Gdy na pierś białą pyłek upadnie,
Zeskrob go zaraz palcami chciwie,
A jeśli, żaden pyłek nie spadnie,
To i ten żaden zdejmij skwapliwie!

H o r a c y.

(O, XXX, l. III).
Exegi monumentum...

Stworzyłem sobie pomnik twardszy, niż metale,
Wyższy! niźli piramid królewskich budowy
Nie obalą go wieki, ni Akwilon w szale,
I nie zniszczą go ciosy burzy piorunowej.
Nie, ja cały nie umrę, mroków śmierci srogiej
Część ma wielka uniknie, sławą zabrzmi wszę-
[dzie.
Póki z cichą westalką w Kapitolu progi
Wstępować będzie kapłan, ona istnieć będzie.
Będą o mnie mówili w ojczystej krainie,
Gdzie Anfidus przepływa z warczeniem wście-
[kłości,
Gdzie pośród biednych ludów Daunus królem
[słynie,
Że z najniższego stanu wzrosłem do wielkości:

Bo dźwięczne pieśni w formie Eolskiej, ulotnej,
Ja pierwszy zaśpiewałem w Italijskiej stronie;
Bądź dumną Melpomeno, z zasługi istotnej
I laury delfickiemi uwieńcz moje skronie!...

O d a.

(Lib. IV, Car. VII)
Diffugere nives...

Spłynęły już śniegi, zieloność na pola wróciła,
Na drzewa — liściasty ich włos,
I lody już pękły i ziemia we wiośnie ożyła
I mile ptaszęcy brzmi głos;
I naga Aglae prowadzi już chóry swe skoczne
Nimfami przepełnił się las;
„Lecz wszystko to minie!“ tak mówią nam zmia-
[ny coroczne,
Płynący tak mówi nam czas.
Mróz miękczą Zefiry,lecz wiosnę wnet lato zamieni,
Rozerwie plecionkę mdłych snów,
I lato też przejdzie, zakwitną owoce jesieni,
I zima ponura mknie znów!
Lecz szkody natury w corocznej znikają odnowie;
A my, gdy zapadniem się w mrok,

Gdzie ojciec Encasz, gdzie Rzymu są boscy
[królowie,
Wnet w pył się zmieniamy i w proch.
Kto wie, czyli bogi do dzisiaj nam jutro dodadzą,
Czy śmierć nie zagraża już nam?
A to tylko ujdzie przed złą spadkobierców twych
[władzą,
Co mile zużyjesz ty sam!
Gdy Minos w Hadesie swój prawy sąd wyda
[raz na cię
Z Tartaru nie wyjdziesz już wrót,
Ni talent, ni cnota, ni mądrość najwyższa, Tor-
[kwacie,
Ni sławny nie zbawi cię ród:
Gdy skromny Hippolit znikł w piekła czeluś-
[ciach — od Dyany
Nie doznał pomocy już tam,
Gdy Piritousa Letejskie splątały kajdany,
Nie rozkuł Tezeusz ich sam!

Epodon VII.

Quo, quo scelesti...

I dokąd zmierzacie żądzą bojów wściekłą,
W krwawych dłoniach dzierżąc bratobójczy nóż?

Czyż zamało jeszcze Rzymskiej krwi wyciekło
Na obszernych ziemiach, śród niezmiernych mórz,
Nie, ażeby tłumy bogaczów nadętych
W nienawistnych murach Kartaginy zgnieść,
Albo Brytańczyków dotychczas nietkniętych
W kajdanach z tryumfem świętą drogą wieść,
Lecz ażeby gród swój własną dłonią zburzyć:
Czego chce Partyjczyk, to czynicie wy!
Przeciw swoim nie chcą swoich zębów użyć
Nawet dzikie wilki, nawet srogie lwy!
Czy szał was, czy siła straszniejsza ogarnia: —
Winy ojców? Mówcie: wytężam mój słuch...
Milczycie i z liców wam bije męczarnia,
A w piersiach ze strachu zamiera wasz duch.
Tak jest! Groźne fatum o Rzymie pamięta:
Klątwa bratobójstwa podnieca wasz gniew,
I ziemię łacińską wciąż broczy ta święta
Potomków Remusa niewinnego krew!

O d a.

(O, XII, Lib.).
Miserarumst nec amore...

Ty nie możesz, nieszczęśliwa, ni miłością się pobawić, ni tęsknoty winem zalać, ni na chwilkę choć uniknąć mrukliwego wuja gderań.

Śliczny malec Cytherei *) z palców koszyk ci wytrącił; w zapomnieniu przy robótce dłoń twa zwisła, Neobulo; *jego* ścigasz wyobraźnią: Cudny Eurus Liparejski w fale Tybru lekko skacze; nikt nie zdoła go zwyciężyć ani w walce, ani w biegu; a na koniu mknie, jak wicher. Przed zręcznemi jego strzały drżą jelenie na równinach, a gdy ujrzą go zdaleka, wnet spło szonem biegną stadem śród bezpiecznych skryć się gąszczów...

---

*) Syn Wenery, Amor.

Z rosyjskiego.

Puszkin.

*
*   *

Z szalonych lat mych uciech odblask blady
Tak ciąży mi, jak pjanej szał biesiady;
Lecz jako miód, minionych ślad katuszy,
Czem starszy jest, tem większą moc ma w du-
[szy.
A ból i trud w posępnej mi podróży
Przyszłości mej burzliwe morze wróży...
O śmierci myśl tchnie jednak we mnie dreszcze
Ja pragnę żyć, by myśleć, cierpieć jeszcze!...
I nieraz, wiem, uczuję znów rozkosze,
Choć troskę, żal, niepokój w sercu noszę:
Czasami znów harmonią się upoję,
Fantazyi twór łzą zwilży oczy moje,
A może być, przed smutnym życia zmierzchem
Miłości blask pożegna mnie uśmieszkiem...

* * *

Ukołysały mnie
Miłosne zaklęcia,
A pogrzebały mnie
Twe lube objęcia

Lecz pocałunek twój
Na nowo zbudził mnie,
Jam o niebiosach śnił
W słodkim porannym [śnie...

* * *

Ja Cię kochałem! i jeszcze, być może,
Miłości serce nie zdołało rzucić;
Ale już więcej nią Cię nie zatrwożę,
Bo nie chcę, niczem Ciebie, Pani, smucić.
Ja Cię kochałem, dręczony niezmiernie
Zazdrością, bólem, co po nocach szlocha,
Ja Cię kochałem tak cicho, tak wiernie...
Jak niech, daj Boże, inny Cię pokocha!

* * *

Inesilla: I am here
Barry Cornwall.

(z tłómaczenia Puszkina).

Jam tu, Inezyllo,
Pod oknem jam twem!

Już noc nad Sewillą,
Gród śpi cichym snem.

W płaszcz skryłem twarz bladą,
Gniew wre w sercu mem,
Z gitarą i szpadą
Pod oknem jam twem!

Śpisz? Dźwiękiem gitary
Obudzę cię z snów,
A wstanie twój stary —
Miecz uśpi go znów.

Spuść linę. Ach Boże!
Wszak wykraść cię mam!
Cóż zwlekasz? Czyż może
Przeciwnik mój tam!

Jam tu, Inezyllo,
Pod oknem jam twem!
Już noc nad Sewillą;
Gród śpi cichym snem.

Aforyzm.

Tak zawsze będzie i bywało,
Bo świat stworzonym został tak:
Uczonych mnóstwo, mądrych mało,
Znajomych moc, przyjaciół brak!

Złoto i stal.

„Wszystko moje!“ rzekło złoto,
„Wszystko moje!„ rzekła stal.
„Wszystko kupię!“ rzekło złoto,
„Wszystko wezmę! rzekła stal.

Do Poety.

Wieszczu! nie ceń miłości narodu niegodnej,
Ucichnie zapalonych pochwał chór szumiący,
Wyrok głupca usłyszysz, śmiech motłochu chło-
[dny
Ty pozostań spokojny, zimny i milczący.

Tyś królem: żyj samotny! Śród drogi swobodnej
Daj się myśli pochwycić swobodnej i wrzącej,
Niech cię marzeń okrąży łańcuch czarujący,
Nie chciej nagród, gdy spełniasz czyn z pię-
[knością zgodny.
Nagroda w samym tobie. Tyś swój sędzia
[własny;
Na trud swój wydasz wyrok najsurowszy, jasny;
Czyliś rad z swego trudu, wieszczu niebios,
[słońca?
Tyś rad! Niech więc bluźniercze tłum nań wzno-
[si dłonie,
Niechaj pluje na ołtarz, gdzie twój ogień płonie,
I w dziecinnej radości o twój trójnóg trąca.

*
* *

Czy to ulice przebiegam gwarne,
Czy wchodzę w ludnych świątyń podwoje,
Czy dzielę młodzi zabawy marne,
Wszędzie mnie myśli ścigają moje.

I mówię sobie: upłyną lata, —
I my, co dążym życiową drogą,
Zejdziemy wszyscy kiedyś ze świata.
I śmierć już może czycha na kogo.

Starego dębu szerokie cienie
Szepczą mi: lasów kapłan sterany
Przeżyje moje nikłe istnienie,
Jak przeżył ojców byt zapomniany.

Gdy niemowlęcia pieszczoty czuję,
„Żegnaj mi, mówię, żegnaj w tej dobie,
Ja moje miejsce ci ustępuję:
Mnie czas już więdnąć, a kwitnąć—tobie.

O dnia i nocy każdej godzinie
Próżno chcę trwożnym duchem zawładnąć;
Myśląc o bliskim śmierci terminie,
Staram się straszną chwilę odgadnąć.

I gdzie mi losy umrzeć rozkażą?
W morzu, na wojnie, w drodze dalekiej?
Czy pod cmentarza bliskiego strażą
Zimne me prochy spoczną na wieki?

I choć to wszystko jedno dla ciała
Gdzie się rozsypie w proch nędzny, zgniły,
Chcę, by mogiła moja leżała
W pobliżu mojej ojczyzny miłej.

I niech nad grobem moim swoboda
Młodego życia igra bezpiecznie,
I obojętna, wielka przyroda
Pięknością swoją niech błyszczy wiecznie!

T a l i z m a n.

Tam gdzie wiecznie bije morze
O przybrzeżne bliskie skały,
Gdzie w wieczornej mglistej porze
Cieplej błyszczy miesiąc biały,
Gdzie w haremach, śniąc szczęśliwie,
Muzułmanin słodko pała,
Czarodziejka pieszczotliwie
Raz talizman mi podała.

*
* *

I śród pieszczot mi mówiła:
„Ten talizman noś przy sobie
W nim tajemna skryta siła,
Dziś go miłość daje tobie;
Od słabości, od mogiły,
I od wrogów twych pogoni

Głowy twojej, o mój miły!
Ten talizman nie uchroni.

* *
*

I proroka on czcicieli
Poddać władzy twej nie może,
Ani tobie nie udzieli
Bogactw Wschodu w biedy porze.
I z południa, z obcej strony,
Zkąd na północ myśl twa rwie się,
Tam cię, luby mój, stęskniony
Ten talizman nie przeniesie.

* *
*

Lecz, gdy usta w nocnym mroku,
Nie kochając, pocałują,
Lub spojrzenia słodkie wzroku
Ciebie, drogi, oczarują,
Od przestępstwa, od cierpienia,
Od miłosnych mąk pogoni
I od zdrady, zapomnienia,
Ten talizman cię uchroni.

Egipskie noce.

Gmach cały błyszczał... Z dziwnym urokiem.
Dzwięczały arfy wśród pysznych sal;
Królowa cudnym głosem i wzrokiem
Wetchnęła życie w rozkoszny bal.
I wszystkich serca wzdychały do niej,
Wtem... jakiś namysł rysy jej skuł;
Złocistą czarę z palców uroni,
Czarowną główkę spuściła w dół.

Zamilkli goście, ucichły chóry,
I jakby drzemie wspaniały bal;
Wtem ona czoło wznosi do góry,
I jasny głos jej zabrzmiał śród sal:
„Raj swój widzicie w miłości mojej,
Raj ten zakupić pozwolę wam...
Niech zgoda dawny spór uspokoi,
Ja wszystkim prawa jednakie dam!
Kogo ten kontrakt namiętny mami:

Sprzedaję miłość, rozkoszy moc;
Powiedzcie, kto tu pomiędzy wami
Za cenę życia kupi mą noc?"

Rzekła, — i wkoło przestrach wybucha
I namiętnością zawrzała krew,
A ona szmerów stłumionych słucha,
Na twarz jej zimny wystąpił gniew,
Po wielbicielach spojrzeniem wodzi,
I tchnie pogardą oczu jej ruch...
Lecz nagle z tłumu jeden wychodzi,
A jego śladem i innych dwóch.
Stąpają śmiało, z głową wzniesioną;
Królowa wstała; szmer wszelki ścichł...
Straszne trzech nocy kupno spełniono
I łoże śmierci już woła ich.

Kapłani urnę wyroczną kładą,
Z błogosławieństwem podnosząc głos;
Teraz przed niemą gości gromadą
Poczęto ciągnąć pierwszeństwa los.
Pierwszy był — Flawiusz, szerokiej chwały
W legionach rzymskich wódz osiwiały;
Dziś gniewem zawrzał: nie był on w stanie
Znieść od kobiety dumną pogardę,
I tak rozkoszy przyjął wyzwanie,
Jako w dnie wojen minionych twarde
Przyjmował walki wyzwania harde.

A za nim Kryton, filozof młody,
Co Epikura zrodził go gaj,
Kryton, wielbiciel Gracyj urody,
Który opiewał Cyprydy raj.
Pociągający wszystkich spojrzenia,
Miły, jak wiosny świeżuchny kwiat,
Ostatni — wiekom swego imienia
Nie pozostawił, rzucając świat;
Lica mu pierwszy puszek ocienia,
Z ócz upojenie młodzieńcze bucha,
Żar namiętności rozpala ducha.
Królowa słodkiem spojrzeniem toczy,
Na nim z zachwytem wstrzymała oczy.

„Matko rozkoszy!.. przysięgę złożę,
Żem twą służebną i dowód dam:
Na miękie pokus namiętnych łoże,
Jak najemnica, dziś zstąpić mam.
Niechaj Cypryda, co pęta ducha,
Niech wszelka piekieł podziemnych moc
Dzisiaj mych zaklęć wiernie wysłucha:
Klnę się, nim trzecia upłynie noc,
Chwilowych władców żądze spragnione
Nakarmię dziwnej rozkoszy tchem,
Drgające nerwy słodko owionę
Upajającym omdlenia snem;
Lecz, gdy raz czwarty Aurory szata
Różowym blaskiem obsypie nas,

Klnę się, pod krwawą siekierą kata
Głowy szczęśliwców odpadną wraz!"

I oto miesiąc lśni złotorogi,
Czarownej nocy ustąpił dzień,
Aleksandryjskie gmachy i drogi
Pokrywa miły przejrzysty cień.
Biją fontanny, błyszczą lampiony,
Kadzidła lekką roznoszą woń,
I ziemskich bogów Amor natchniony
Mami w rozkoszy czarowną toń.
A tam, w przepysznej złocistej sali,
Gdzie jedno światło blado się tli,
Pod purpurową zasłoną w dali
Bogate łoże śród cieniów lśni...

. . . .

Scena z Fausta.

Puszkina.

Brzeg morski. Faust i Mefistofeles.

Faust.

Mnie nudno, biesie.

Mefisto.

Ha, cóż robić Fauście.
Taki już los wasz, takie przeznaczenie,
Chociażem dyjabeł, ja tego nie zmienię.
Wszelka rozumna istota się nudzi:
Ten, że próżnuje, tamten, że się trudzi;
Ów ztąd, że wierzy, ów, że stracił wiarę,
Ten, że w rozkoszy wszelką przebrał miarę,
Tamten, że nie wszedł w nią jeszcze po szyję.
A każdy ziewa, a ziewając, żyje;

Wszystkich zaś czeka, ziewając, rozwarty
Grób!.. ziewaj i ty!

Faust.

Nudne, stare żarty!
Twojej słabości dziurawe przykrywki.
Nie znajdziesz dla mnie jakowejś rozrywki?
Lub ciekawszego do rozmowy wątku?

Mefisto.

Ha, bądźże kontent z dowodów rozsądku,
A i w albumie zapisać się uda:
Fastidium est quies — co znaczy, że nuda
Jest odpoczynkiem duszy. Ta nauka,
Od psychologa, wierzaj, nie oszuka.
Bo rozważ dobrze całe swoje życie,
Wszystko, coś uczuł i jawnie i skrycie,
Wszelkie wrażenie, wszelką myśl przelotną,
A potem powiedz mi prawdę istotną,
Kiedyś się zdala od tej nudy trzymał?
Czy wówczas, kiedyś nad Wirgilem drzemał
A rózgi śpiący twój umysł budziły?
Czy gdyś dziewczątkom za uśmieszek miły
Przystrajał główki w fijołki, lub róże,
I twojej piersi zapały i burze
Im poświęcałeś śród nocnej biesiady?
Czy może wtedy, gdyś wzruszeniem blady

Rzucił się w mary szlachetne, zwodnicze,
Albo w nauki głębie tajemnicze?
Ależ pamiętam! — toć to wtedy było!
Tyś z nudy Fauście, swoich zaklęć siłą,
Jak arlekina z ognia mnie wywołał!
A czyżem wtedy rozerwać cię zdołał?
Jak drobny szatan skakałem przed tobą:
Tom chciał Cię własną zabawić osobą,
Tom do czarownic, do duchów prowadził.
Wszystko daremnie! Nic-em nie poradził!
Żądałeś sławy i zostałeś znany!
Chciałeś pokochać, — byłeś zakochany!
Ściągnąłeś z życia wszelaki podatek
A był-żeś kiedy szczęśliw naostatek?.

Faust.

Przestań Mefisto!.. niech twe ostre słowo
Tajemnych ran mych nie krwawi na nowo.
W głębokiej wiedzy — życia ni źdźiebełka!
Przekląłem wiedzy fałszywe światełka.
A sława... blask jej nad głową przelata
Niepochwycony. Uwielbienie świata
Bezmyślne jak sen... Ale mam nadzieję,
Że jeszcze szczęście prawdziwe istnieje.
Istnieje! Jest to dwóch dusz połączenie.

Mefisto.

Aha, mój Fauście! — i pierwsze widzenie!
Nieprawdaż? Lecz czy i ja wiedzieć mogę,

Jakie to raczysz mieć wspomnienie błogie?
Co, czy nie Gretchen?

Faust

O, śnie ty cudowny!
Ogniu miłości czysty i czarowny!
Tam, tam, — śród cieniów, tam gdzie szumią
[drzewa,
Gdzie srebrny strumyk słodko-dźwięcznie śpiewa...
O, tam na pierś jej, jako śniegi białą,
Złożywszy głowę, marzeniem omdlałą.
Szczęśliwy byłem!..

Mefisto.

Śmiechem się udławię!
Ależ mój Fauście, ty bredzisz na jawie!
Sam się omamiasz wspomnieniem usłużnem!
A powiedz, proszę, komu jesteś dłużnym,
Z czyją tę piękność posiadłeś pomocą?
Czy to nie jam was złączył ciemną nocą?
Sam-em się bawił za te trudy moje.
Pamiętam wszystko... tak jak wy oboje!
Kiedy kochanka twa, pełna zachwytu,
Do upojenia dochodziła szczytu,
Tyś się już wówczas pogrążał w zadumie.
(A toć-że każdy z nas dobrze rozumie.

Że rozmyślanie — to nasienie nudy)
Wiesz, filozofie, — mówiąc bez obłudy, —
Wiesz, coś ty myślał wtedy, w takiej chwili,
Gdy nikt nie myśli! Drogi Fauście, czyli...
Powiedzieć mam?

Faust.

Mów.

Mefisto

Mówię, gdy pan pragnie. .
Myślałeś: „moje ty posłuszne jagnię!
Jakżem ja ciebie namiętnie pożądał!
Jakżem ja chciwie tej chwili wyglądał!
Jakżem ja chytrze, nie licząc sie z niczem,
Marzenia budził w sercu twem dziewiczem!.
I gdy ją pieszczot mych kajdany skuły,
I gdy miłości namiętnej i czułej
Niewinnie cała oddaje się ona, —
Dlaczegóż pierś ma teraz przepełniona
Tą swoją wieczną nudą i tęsknotą!
I czyliż po tom cię pragnął? czy po to,
Aby słodyczy wychyliwszy czarę,
Na własnych chuci spoglądać ofiarę
Z niezwyciężonym, z nieskończonym wstrętem?!
I to się celem nazywa dopiętym!
Tak samo głupiec niewyrachowany,

Na jakąś zbrodnię wprzód zdecydowany,
Pierwszego w lesie żebraka zarzyna,
A potem ciało obdarte przeklina!
Tak na sprzedajną, a piękną dziewoję,
Zbyt szybko żądze nasyciwszy swoje
Rozpusta trwożnie spogląda z pod oka!..
Oto, coś myślał, — a ot myśl głęboka,
Która twych myśli była rezultatem...

Faust.

Precz, precz, szatanie! I nie bądź mi katem!
Niechaj natychmiast ciebie z oczu stracę!

Mefisto.

Owszem... Lecz wprzód mi zadaj jaką pracę.
Wiesz, bez roboty nigdy nie śmiem ciebie
Opuszczać, — i to także mam do siebie,
Że próżnowania strasznie nienawidzę.

Faust.

Co tam bieleje? Widzisz?..

Mefisto.

Czy tam?.. Widzę.
Jest to hiszpański okręt trójmasztowy

Przystać do brzegów Hollandyi gotowy.
Na nim hultajów trzechsetna hołota,
Dwie wielkie małpy, kilka beczek złota,
Pieprz, czekolada, — i wspomnienia godna,
Podarowana wam choroba modna.

Faust.

Wszystko utopić!

Mefisto.

Natychmiast!..

Eugenjusz Onegin.

(Wyjątek).

Pieśń I.

XXIX.

W wesołe dni mych młodych wierzeń
Jakżeż mnie bawił każdy bal!
Wyborne miejsce to dla zwierzeń:
Tam wręczasz listy śród tych sal!
O wy, szanowni, cni mężowie,
Proszę przysłuchać się mej mowie:
Tutaj usłużność moją znać;

Ja wam przestrogę chciałbym dać!
I wy, o mamy, śpiące może, —
Śledźcie swych córek każdy krok,
Wspomóżcie binoklami wzrok, —
Ach! bo inaczej... O, broń Boże!..
Ja to dlatego piszę wam,
Że dawno już nie grzeszę sam!

XXX.

Ach, na zabawy, na widziadła,
Jam wiele życia stracił już, —
Gdyby moralność nie upadła,
Nie wyrzekłbym się świata burz!..
Lubię ja młodość, szał i tłumy
Wymyślne stroje, blaski, szumy,
Damy, sunące w marzeń mgłach,
Lubię ich nóżki, — tylko, ach!
Czyliż się znajdą w Rossyi całej
Trzy pary zgrabnych damskich nóg?..
Długom pamiętać jedno mógł:
Dwie nóżki!.. Smutny i zbolały
Ja wciąż je pomnę... nawet w śnie
One to dręczą serce me...

XXXI.

Próżnom zapomnieć chciał je nieraz!
Szaleńcze, raczej umrzesz wraz.

Ach, nóżki, nóżki, gdzie wy teraz,
Jaka dziś ziemia pieści was!
Wschodnie rozkosze je pieściły,
Więc śladów swych nie zostawiły
Na smutnym śniegu naszych stref;
Dywan i wiatru wziął je wiew...
Ach, kiedym tylko spojrzał na nie,
Zapominałem wszystko wnet,
Pragnienie sławy, jarzmo bied,
I kraj rodzinny, i wygnanie...
Lecz znikło szczęście młodych lat,
Jako śród traw wasz lekki ślad.

XXXII.

Dyjanny pierś, rumieniec Flory
Mogą miłosny budzić jęk...
Jednakże nóżka Terpsychory
Ma dla mnie stokroć większy wdzięk!
Ona to krew młodzieńczą burzy,
Ona nagrodę słodką wróży,
Ona to wzrok rozmarza twój,
Budząc swawolnych pragnień rój!
Lubię ja nóżki, o Elwinko!
Czy pod obrusem stołu drżą,
Czy po wiosennej trawie mkną,
Czy spoczną w zimie na kominku;

W salach, gdzie tańców rządzi szał,
Nad morzem, na granicie skał...

XXXIII.

Pamiętam morze, burzą wrzące,
Jak się przez zazdrość ból mój wzmógł,
Patrząc, jak fale biegły drżące
Spocząć z miłością u twych nóg...
Jakżem ja pragnął wraz z falami
Dotknąć się miłych nóg ustami!
Śród uciech młodych moich dni,
Gdy milion żądz szalało w krwi,
Nigdym nie pragnął z taką męką
Całować lica młodych dziew,
Gorących ust ich chwytać wiew,
Dotykać piersi drżącą ręką —
Nigdy namiętnej burzy znak
Nie targał duszy mojej tak!

XXXIV.

Myśl za wspomnieniem innem goni,
Czasem się snom porywać dam:
Szczęśliwe strzemię trzymam w dłoni
I zgrabną nóżkę w palcach mam!
Znów kipię w słodkich snów zamęcie,
Znów czarodziejskie to dotknięcie
Zapala w zwiędłem sercu krew,

Czuję miłości tęskny wiew...
Lecz nadto sławi dumne dziewy
Ma gadatliwa lira, drżąc:
One nie warte są tych żądz,
Nie zasługują na te śpiewy:
Oczy i słowa bogiń tych —
Zdradliwe, jako nóżki ich!..

Sonet.

Surowy Dante nie gardził sonetem;
W nim żar miłości Petrarka wylewał;
Ten się nim bawił, który świat Makbetem
Obdarzył; ból w nim Kamoens wyśpiewał.

I dziś poetę wabi on, jak przedtem...
Wordsworth, gdy z próżnym światem się po-
[gniewał,
Zraniony pustką jego, jak sztyletem,
W szatę sonetu myśli swe odziewał...

Dumając w dali, w gór Taurydzkich cieniu
Litewski śpiewak w jego ścisłe ramy

Marzenia swoje rzucał w oka mgnieniu!..

Jeszcze go u nas nie słyszały damy,
Gdy zapominał już Delwig natchniony
Dla niego święte heksametru tony.

Lermontow.

Głaz

Nocowała ongi chmurka złota
Na starego głazu ciemnem łonie...
Wstała rankiem... Już nią wicher miota,
Już ją niesie ku dalekiej stronie...

Ale został po niej ślad wilgotny
W szczerbie głazu, niby znamię smutku...
I głaz stoi... i duma samotny..
I w pustyni płacze pocichutku...

Marzenie.

Ja wychodzę na drogę samotny;
Przez tumany lśni krzemienna droga;

Gwiazda gwieździe rzuca blask przelotny,
I pustynia słucha głosu Boga.
Niebo jakieś uroczysto-błogie,
A po ziemi srebrne cienie biegą:
Czemuż ja wciąż cierpię bóle srogie?
Czekam na co, czy też żal mi czego?
Nie, już nie chcę nic śród życia znoju,
Żal za przeszłem mnie nie może drasnąć;
Dziś wolności szukam i spokoju,
Chciałbym wszystko zapomnieć i zasnąć...
Ale nie tym chłodnym snem mogiły,—
Chciałbym zasnąć tak na wieczność całą,
Aby w piersi drżały życia siły,
By nią ciche bicie kołysało,
Aby w jasny dzień i nocą ciemną
O miłości słodki głos mi śpiewał
I przez wieki schylony nademną
Dąb sędziwy listkami powiewał.

* *
*

Spoglądam w przyszłość z nikczemną bojaźnią,
Spoglądam w przeszłość z rozpaczą tęsknoty,
I szukam błędnie, jak zbrodniarz przed kaźnią
Śród zimnych tłumów braterskiej istoty!..
I któż mnie zbawi w życiowej zawiei?
Kto mi odkryje życia przeznaczenie,

Cel namiętności, dążenia, nadziei!
Kto zniszczy wiecznie trujące zwątpienie?
Kto zerwie słowem słonecznem miłości
Sieć chmurnych przeczuć i kto wytłomaczy,
Czemu los, przecząc ambitnej młodości,
Z obłoków marzeń przecudnej jasności
Zrzucił mnie w czarne odmęty rozpaczy...

Żądz, nienawiści, miłości i kary
Mój ziemski haracz — spłaciłem już ziemi;
Ledwie dotknąłem ziemskich uciech czary,
A czas już miałem przesycić się niemi...
Chociaż na niczem nie stargałem siły,
Zmęczona dusza omdlewa co chwilę,
I sama sobie i świat jej niemiły,
I w snach najsłodszych marzy o mogile...

Czemu?

Mnie smutno!.. Nie wiesz czemu?.. Bo kocham [gorąco,
Bo wiem, że na twą młodość uroczą, kwitnącą,
Świat się rzuci zdradziecko z swą błotnistą [plotką,

Że każde jasne mgnienie, każdą chwilę słodką
Okupisz łzą i bólem, co zasępi czoło!..
Mnie smutno!.. Nie wiesz czemu?.. Bo tobie
[wesoło!.

*

* *

W świąteczny dzień, w kościelnej bramie
Raz o jałmużnę żebrak prosił.
Pragnienia, głodu, bólu znamię
W wybladłej, chudej twarzy nosił.
Do modłów usta swe ułożył,
Chciał tylko chleba prośbą świętą,
A jednak... kamień ktoś położył
W żebraka rękę wyciągniętą.
Tak ja przez łzy me najgorętsze
Błagałem Cię o krztę miłości,
I tak uczucia me najświętsze
Ty oszukałaś bez litości!..

* *

*

Rozstaliśmy się... Jednak wciąż
Twój portret na mem sercu mam;
Jak blade widmo lepszych dni,
Za radość on wystarczy sam..

Kochając inne, kocham go...
Czyż obraz ten zejść z ócz mi mógł?
Choć próżny kościół — kościół wciąż,
Zwalony bałwan — zawsze Bóg!

Epizod z wyprawy Krzyżowej.

Pobywał w Świętej Ziemi
Na wzgórzach Palestyny,
Stalowy jego szyszak
Pocięli Saracyny.

Gdy szedł do Ziemi Świętej,
Był młody i rumiany;
Do domu swego wrócił
I łysy i zrąbany.

Niewiernych zapalczywie
Obiema bił rękami,
Ni żon ich nie oszczędzał,
Ni dzieci ze starcami.

Bywało, niegdyś panny
Patrzyły nań w zachwycie,

On lubił je całować,
W policzki szczypał skrycie

Bez sławy, w nędzy wrócił
Po różnej lat kolei,
Popatrzył — kupa dzieci,
A żona — przy nadziei.

Na miejscu umarł starzec...

. . . .

Modlitwa.

Jest chwila — żyć mi trudno,
Oplecie serce wąż...
Modlitwę wówczas cudną
Z pamięci szepczę wciąż...

Są dźwięki pełne treści,
Co dziwny mają dar:
W harmonii słów się mieści
I moc i wdzięk i czar...

Zwątpienie, co się szerzy
Po duszy, spada z niej,
I człowiek płacze, wierzy,
I lżej na sercu, lżej...

Czara bytu.

Z kielicha bytu pijem wciąż,
Zamknięte mając oczy...
Po jego złotych brzegach łza,
Spadając, z ócz się toczy...

A gdy przed śmiercią z oczu nam
Zasłona wreszcie spada,
Gdy pierzcha barwnych złudzeń rój,
Gdy nicość wyjrzy blada, —

Z tej próżnej czary bije nam
Straszliwa prawda w twarz:
Że napój tam—marzeniem był,
Że kielich nie był nasz!

N i e k r a s o w.

Płacz dzieci.

Oswojeni z scenami męczeństwa,
Obojętnie wsłuchani w przekleństwa
Tych, co ginąc w tej walce o życie,
Przegrywają, jak nieszczęsny gracz, —
Po za niemi, bracia, czy słyszycie
Ciche skargi, cichy dzieci płacz?

„W złotej porze dzieciństwa — radośnie
Wszystko żywe spogląda na świat,
I rozkosznie rozkwita i rośnie,
I bez pracy zrywa w życia wiośnie
Samych zabaw, samych uciech kwiat!
Tylko nasza dola niewesoła:
Nie biegamy po niwach śród sioła,
Ani w lasów nie kryjem się cień,

W pocie czoła, na fabrykach koła
Kręcim, — kręcim — kręcim cały dzień...

„Ach! żelażne koło tak się kręci!..
Jęczy, zgrzyta, obrzuca swym tchem.
Głowa płonie, zerwanej pamięci
Myśli czarnym wydają się snem;
Serce bije krwi hucznym potokiem,
Piersi ściska nam żelazny pas;
Przed zamglonym i zmęczonym wzrokiem
Wszystko kręcić poczęło się wraz:
Gruby nos dozorczyni staruchy,
Okulary noszącej i suchej,
I marszczącej okrutnie swe brwi, —
I po ścianach goniące się muchy,
I sufity i okna i drzwi —
Wszystko krąży... Obłędnie, szalenie,
Krzyczym, prosim — i błaga nasz jęk:
Ustań, ustań, okropne krążenie!
Zbierzem myśli, ukoim zmęczenie,
Nas zabija zgrzytanie i szczęk! —

Próżne modły, daremne błagania!
W piersiach chrzypnie mdlejący nasz głos,
W uszach warczy, mrok oczy zasłania.
Ach! fatalny nie minie nas los...
Toćże koło bez serca, bez ducha;
Nie oszczędzi nas, prośb nie wysłucha:

Jemu obce i litość i wstyd.
Koło szumi przeklęciej, przeklęciej,
Choćbyś umarł — okrutne się kręci,
I za zgrzytem powtarza się zgrzyt!

„Gdzie skazanym na wieczną niewolę
Skakać, śpiewać, radować się, śmiać!
Gdyby teraz puszczono nas w pole,
Padlibyśmy na trawę, by spać.
My do domu bieżym myślą wiotką,
Lecz do domu czemuż spieszno tak?!
Toć i tam nie zapomnim się słodko,
I tam czeka nas rozpacz i brak.
Tam te główki, co tak bardzo bolą,
Na pierś złożym bladej matce swej,
I załkawszy nad wspólną niedolą,
Rozerwiemy biedne serce jej!..

W ojczyźnie.

Wszędy strojnie odziewa to rozkoszne zboże
Rodzinne moje niwy, —
Wznosi się i rozkwita żółtych kłosów morze,
A jam zaledwie żywy;

Ach! tak dziwnie i śmiesznie, smutnych spraw
[obrotem,
Stworzyli mnie bogowie,
Że chleb pól, użyźnionych niewolników potem
Nie idzie mi na zdrowie.

Uboga i bogata.

1.

Chorobliwa spojrzenia łagodność,
Podrobione rumieńce jej lic,
Stroju zbytek ubogi i modność, —
Na jej korzyść nie mówią nam nic,
Ale lepiej na chwilę przystaniem,
Gdy chce zabrzmieć przekleństwem nasz głos;
Przywołamy ją z takiem pytaniem:
„W jaki sposób cię spotkał ten los?“
To historja nienowa, niedługa:
Ojciec biedak pisarzem gdzieś był,
Jak ostatni pracował on sługa,
I jak nędzarz na strychu gdzieś żył,
Lecz pić lubił, — a gdy gardło zalał,
Szedł do domu i jak zbójca szalał.

Przeczuwając wprzód fatalną scenę,
Żona małą zabiera Helenę,
Do snu prędko układa i — znika,
A drzwi mocniej niż zwykle przymyka;
Lecz nie może spać biedna dzieweczka,
Jej się marzy: tam wymyśla ojciec,
Płacze matka. Więc wstaje z łóżeczka,
Chcąc z odgłosów groźnej sceny dociec.
I na łóżku zmęczona się wspiera,
Na drzwi szczelnie zamknięte spoziera,
Zkąd płacz słychać z groźbami zmięszany,
I bez ruchu przepędza tak noc
Jako ptaszek wśród liści schowany,
Co w żywiołów wsłuchuje się moc.
Lecz choć cierpień mąż sprawiał niemało,
Gdy go śmierć im nareszcie wydarła,
Jeszcze gorzej bez niego się działo:
Matka z żalu po mężu umarła,
A dziewczynkę zabrała *madame*,
W magazynie jakimś umieściła, —
Lecz niewiele panny szyły tam,
I nie praca ich sama żywiła...

. . . .

. . . .

. . . .

2.

„Zresztą co tam!.. Wstyd mówić z nią przecie.
Mogą ujrzeć!“ — Odeszli co prędzej...
O nie spotkasz współczucia na świecie
Biedna córko nieszczęścia i nędzy!
Przed twą hańbą świat oczy zasłania,
A przebacza tej innej, niebaczny!
Co sprzedaje siebie z powołania,
Bez potrzeby, bez walki rozpacznej,
Co powstawszy z leżnicy sromotnej,
Wystrojona ubieli swe lice
I pospiesza w pozycyi zalotnej
W eleganckim powozie w ulicę,
Tę ulicę rozkoszy i mody,
Gdzie loretki rzucają swe czary,
Gdzie z połowy krainy dochody
Pochłaniają zamorskie towary;
Powiadają, w ulicę tę miłą,
Co świat tylko wymyślił modnego,
Czarodziejską zamknęło się siłą,
Tylko nie masz tam nic ojczystego,
Chyba biedny Iwaszka przejedzie,
Nucąc tęskną piosenkę o biedzie.
Dniem i nocą tam lśnią setki osób,
Nią nie darmo się pyszni stolica:
Na francuzki, na angielski sposób

Przekrzywiwszy nieruskie swe lica,
Błądzą oni, wiekowej pustoty
I próżniactwa dziedzicznego dzieci,
Wystrojeni i pełni ochoty, —
Ej! któremu rozłożysz dziś sieci?..

Ot, nareszcie z powozu wysiadła,
Za nią piesek na wstążeczce bieży;
Już ją zaraz w zawody opadła
Zgraja modnej i głupiej młodzieży.
I płeć piękną wnet zazdrość szalona
Ogarnęła i gniew chwycił tajny.
O, istotnie, niech biedaka żona
Pozazdrości: efekt nadzwyczajny!
Świeże kwiaty, koronki, topazy,
Że człek staje w zachwytu obłędzie,
A na czole haniebne wyrazy:
„Kto z was więcej da, ten mnie posiędzie!“

Piękna! cóż tak bezwstydnie spojrzałaś?
Czem się pysznisz? Twe dzieje wymienię:
Do Paryża się dzieckiem dostałaś —
Utraciłaś niewinność, sumienie,
Nauczyłaś się kłamać, malować,
I zjawiłaś się do „kraju dziczy,“
Toć słyszałaś, że łatwo rabować
Naszych niby bogatych paniczy,

Tak, nie trudno! — lecz wstąpić należy
Ze świadectwem w tę rzeszę ich pustą;
W piękność żaden z nas dzisiaj nie wierzy,
Nie zadziwisz żadnego rozpustą.
Tylko moda i rozgłos nas zjedna,
Ty piękniejszą, młodszą byłaś może,
Lecz z początku nieznana i biedna
I bez środków do życia... O Boże!
Rozdzierały nam serce twe słowa
O tym kupcu... Z naturą „burłacką“
On to stopy twe piękne całował,
To cię ćwiczył nahajką kozacką.
Szczęściem gbur ten gwałtowny i dziki
Widać słaby jak sercem, tak głową,
Do francuskiej się wziął grammatyki,
Aby z tobą zamienić choć słowo.
A przez czas ten karetkę wygodną
Tyś zdobyła i strój i herb hrabi
Zasłynęłaś i stałaś się modną:
Skandaliczna znajomość nas wabi.
Bo cóż szkodzi, żeś siebie sprzedała,
Że rozpustą wsławiłaś się w świecie,
Żeś bezmyślną i chciwą się stała,
Że jak herby na twojej karecie,
Podrobiona tak piękność twa cała.
Nic nie znaczy! toć znawcy twej nacyi
Sąd wydali, że boską masz śmiałość,

Że twój cynizm dochodzi do gracyi,
Że w bezwstydzie twym błyszczy wspaniałość!

Tyś o dziecię Boga nie prosiła,
Lecz kobiecą naturę też miałaś,
Ze zgrzytaniem ty syna nosiłaś,
I z przekleństwem na świat go wydałaś!
Kiedy podrósł, tyś go wystroiła
I na spacer ze sobą zabrałaś.
Ale cóż?.. pojawienie dziecięcia
Nie popsuło humoru i szyków,
Lecz wzbudziło dość wiele zajęcia,
Dawszy pochop do miłych żarcików.
Cała gwardya dziwiła się nasza,
O, i było bo czego toż przecie,
Że naiwnie ze słowem „papasza"
Do każdego zwracało się dziecię.
Nikt nie rzucił z przekleństwem dla zbrodni
Garścią błota w tę matkę bezwstydną;
Kupcząc matki uczuciem, wygodniej
Prowadziła swą sprzedaż ohydną.

Ci, co szyk swój stracili i mienie,
Późne żale zawodzą pochmurnie, —
Ot nad Newą wciąż błądzą jak cienie
Zrujnowani przez damę tę durnie.
I ten przykład nie niszczy ułudy,
Setki innych zrujnuje znów ona.

Tępość myśli, próżniactwo i nudy
Po jej stronie... Lecz wiersz mój niech skona!
I głośniejsi, niż ja, byli wieszcze,
Darmo piórem walczyli z ciemnotą;
Głupców w Rosyi nie zmniejszę tem jeszcze,
A rozumnych owieję tęsknotą.

---

*
* *

Jestem dzisiaj w tak smutnym nastroju,
Tak zmęczony rozpaczą ponurą,
W tak głębokim, głębokim spokoju
Legł mój rozum stargany torturą,
Że ta boleść, co serce me tłoczy,
Jakiemś gorzkiem weselem mnie żywi,
Sambym poszedł, by spojrzeć wprost w oczy
Chłodnej śmierci... Lecz sen mnie ożywi:
Jutro wstanę, wybiegnę z chciwością
Ujrzeć słońce, wschodzące czarownie,
Cała dusza mi zadrży radością
I zatęskni do życia ponownie.
A ta boleść, co niszczy me siły,
Nie oszczędzi i jutro katuszy
I o bliskich ciemnościach mogiły
Będzie znowu mi szeptać do duszy...

* *
*

O, ja za to głęboko gardzę samym sobą,
Że me życie fikcyjną oblokłem żałobą,
Że je marnie zatracam, że dzień po dniu gubię
Że zwątpiłem, sił żadnej nie poddawszy próbie,
I że twierdząc leniwie: „jam słaby, jam mały!“
Dobrowolnie, jak robak, pełzałem wiek cały,
Żem na siebie sam wydał wyrok bezlitosny,
Że dożywszy tak nędznie do trzydziestej wiosny,
Nie zebrałem dla siebie choć bogatej kasy,
By u nóg mych leżały całe głupców masy,
By pełzały przedemną z uwielbień hałasem,
By rozumny mi także pozazdrościł czasem.
O, ja za to dla siebie pogardę zaznałem,
Żem nie kochał nikogo w mojem życiu całem,
I że chciałbym ja kochać, że świat cały kocham,
Jednak błądzę, jak dzik, i samotnie szlocham,
I że złością olbrzymią moja dusza płonie,
A niech przyjdzie do czynu,—opadają dłonie.

N a d s o n.

Miłość.

Nie w kajdanów ucisku, nie w wieńcu ciernio-
[wym›
Nie pod krzyżem schylona niegodnie,—
Zstąpi w świat ten potężna, z uśmiechem ró-
[żowym,
Niosąc szczęścia jaskrawą pochodnię.
I nie będzie na świecie ni łez, ni niewoli,
Ani walk, ani nędzy kłopotów,
Ani mogił samotnych, ni gorzkiej niedoli,
Ani miecza, ni krwawych szafotów.
O najdroższa! nie próżna to mara jedynie,
Ani złudne nadziei wierzenie.
Spójrz w około: toć dobro zanadto już ginie,
Świat zbyt czarne zaległy już cienie.

Świat zadławi się krwią, zmęczy jadem swej
[złości,
Szałem wrogiej się znuży gonitwy,
Ku miłości podniesie, ku słodkiej miłości,
Oczy pełne błagalnej modlitwy.

Moja Muza umarła.

Moja Muza umarła... Niedługo wesoło
Mą samotność rozjaśniał jej uśmiech skrzydlaty;
Dopaliły się ognie, opadły już kwiaty,
Zimna noc nieprzejrzana zaległa w około...
Próżno szukam w mej piersi, męczarnią starganej,
Owych dźwięków kojących, co grały w niej
[wcześniej:
O, mój wonny wianuszek pomięty, zdeptany;
Dziś bez pieśni ja walczę, boleję bez pieśni.
A bywało, tajemnic i cudów tysiące
W mej ubogiej komórce rzucało się oku:
Zechcę tylko, — i nieba sklepienie błyszczące
Ponademną rozpostrze się w świateł potoku,
Srebrnych jezior rozleją się wody bogate
I pałaców rozkosznych rozzłocą się szczyty
I podniosą w laury swe kształty zębate
Śniegiem kryte wierzchołki i górskie granity!..

Ach, a dziś jam samotny... Złowróżbnie, zło-
[śliwie
Zaglądają mi w oczy te kąty sieroce;
Niby ptak jakiś czarny, w me okno lękliwie
Ciemna północ pochmurna skrzydłami łopoce...
Marmur pysznych pałaców legł w prochu i błocie,
Gór wspaniałe granity we mgłę się rozprysły —
I rozdarło się serce w trawiącej tęsknocie,
Łzy bezsilnej rozpaczy w mych oczach zabłysły!
Moja Muza umarła!.. Niedługo wesoło
Mą samotność rozjaśniał jej uśmiech skrzy-
[dlaty, —
Dopaliły się ognie, opadły już kwiaty,
Zimna noc nieprzejrzana zaległa w około!..

---

* *

O, ja nie chcę się poddać urokom tej wiosny,
Ja o serce zbolałe bym drżał!
Gdy mnie znów jej aromat upoi miłosny,
Znów upoi mnie dziwny jej szał.

I zapomni znów serce, jak wiele przeżyło,
Starych ran swych zgniliznę i trąd,
I na nowo z wszechmocną ogarnie je siłą
Ku miłości szalony ów prąd.

I ufając, pokocha... Z młodości zapędem,
Z nową wiarą wskrzeszonych swych snów,
Z owym dawnym swym żarem i z dawnym
[obłędem,
Znów kochając, zakrwawi się znów.

---

*
* *

Pod dźwięki tej muzyki, co się falą toczy,
Samotny pośród tłumu, co się falą rwie,
Zamyśliłem się naraz, pochyliwszy oczy,
Zamyśliłem się — o czem? chyba Pan Bóg wie...

W tej zadumie chwilowej nie było cierpienia,
Ale ledwiem się ocknął — gdy uczułem wraz,
Że dziwaczny niepokój moje lica zmienia
I że cicha łza po nich spływa, niby pas...

To tajna moja boleść, skrywana przezemnie,
Co przed obcych oczyma wstyd i dumę zna,
Ukradła nieuwagi mej chwilę — i we mnie
Jako cień się podniosła z mojej duszy dna.

I od wrzawy balowej gdy na oka mgnienie
W niewiadome mnie światy uniosło marzenie,
Mą udaną spokojność kłóci tajny żal...

Tak potok górski, skryty przez śniegów skle-
[pienie,
Wyrywa się na wolność buntem swoich fal!

Nad świeżą mogiłą.

Jam znowu sam—i znowu wkoło
Ponurej nocy mroki leżą...
W zadumie ciężkiej chylę czoło,
Ponad mogiłą stojąc świeżą

Dokąd dziś dążyć życia drogą?
Poco pracować, toczyć bitwy? —
Już nie mam więcej kochać kogo
I nie mam komu słać modlitwy!

---

* * *

Wierz w miłości wszechpotężną moc,
Wierz w jej Krzyż, w święty Krzyż wszech-
[zwycięzki
Ponad ból, nad niedolę, nad klęski;

Wierz w jej blask, który z mroków drwi:
On rozjaśni tę ponurą noc,
Świat wybawi i z błota i z krwi...
Wierz w miłości wszechpotężną moc!

S. Frug.

Trzy księgi.

1.

Pieśń nad pieśniami.

Ach śpiewaj: Zapala się zorza wieczorna,
Zefirów skrzydełka chłód niosą,
I zdrzemnął się kraj gileadzki i marzy
Mgłą siną spowity i rosą.
Jedynie na szczycie Karmelu skalistym
Różowe promienie się kładą,
Górzystą drożynką pastuchy spóźnione
Już pędzą ostatnie swe stado...
Ach, gdzieś ty, mój luby? gdzie namiot twój [biały?
I kędyż twa droga daleka?
Gdzie pasiesz twe stado? i gdzie odpoczywasz,

Gdy słońce w południe dopieka?
Czyś głos mój dosłyszał? Czy widzisz namię-
[tność,
Co czarnem wystrzela mi okiem...
Ach! długo szukałam mojego kochanka,
Gdy ziemia spowiła się mrokiem.
Ach! długo szukałam i mam go nakoniec!...
Wzrok jego mnie pali, zachwyca,
On lewą swą rękę pod głowę mi złożył,
A prawą tak pieści me lica!
Sklepieniem nad nami splatają się cedry,
Zamknęły nas mirty ścianami,
A trawy wilgotne i róże sarońskie
Rozsłały się łożem pod nami.

* * *

Przecudne obrazy!... Tę pieśń nieśmiertelną
Salomon — król tworzy na tronie;
A jasny poranek promieńmi wesela
Na czole mu igra i płonie...
Młodzieniec w koronie po lirze swej szybko
Białemi przebiega palcami,
I pieśń z aromatów i z ogniów — miłosna
Dźwięcznemi się leje falami...

II.

Przysłowia.

Już lira miłosna, kwiatami spowita,
W dalekim gdzieś kącie spoczywa;
Pod chmurną, poważną milczenia pieczęcią,
Już słodka się pieśń nie odzywa...
Poranek ustąpił upałom południa,
I oto z ust króla surowo
Wylewa się potok kipiący — płomienny:
To „przysłów“ potężne mknie słowo.
Gryzącą satyrą biczuje swawolę
Rozkoszą, wygodą pomiata,
I pracę wytrwałą, w swej wielkiej mądrości,
Osadza na tronie wszechświata.
Tak, praca wytrwała, robota wesoła
W porannej różowej godzinie,
A cichy spoczynek i ciepła modlitwa,
Gdy zmierzch wraz z wieczorem nadpły-
[nie.
Pić wodę jordańską z trzeźwego kielicha,
Zjeść małą garść ziaren suszonych,
Pokrzepić się we śnie marzeniem niewinnem
Oddychać śród lasów zielonych!...
„Stroń, synu, od uczty pijanej, szalonej,
Od dzikiej namiętnej swawoli;

I nigdy nie zawierz objęciom kobiecym,
Bo one to uczą niewoli!...
Ach, nie wierz słodkiemu ogniowi rozkoszy,
W nim siła nazawsze przepada;
Na łzy i na smutek ponury się zmienia
Wesołość, i śmiech, i biesiada...
Tak, słodko—zapomnieć, lecz prędko się skończą
Minuty rozkosznych twych złudzeń...
Sen pierzchnie za chwilę i radość twą przerwie
Okropna godzina przebudzeń.
Więc przeklnij hulanki pijane, szalone,
I stroń od namiętnej swawoli,
Nie rzucaj się nigdy w objęcia kobiece,
Bo one to uczą niewoli!..“

* * *

Z królewskiej wyżyny śniącego Libanu,
Ze wzgórz Efraimu zielonych,
Zstępuje bogini poznania, mądrości,
I spieszy do komnat złoconych.
Jej głowa potężna, laurami spowita,
Jaśnieje w wieczności koronie...
Południe swe złote promienie rzuciło
Na czoło twe, o Salomonie!
Mąż wielki w koronie nad księgą się schyla
A z ust jego głośno, surowo,

Słów potok się leje, jak rzeka kipiąca:
To „przysłów“ wspaniałe mknie słowo...

III.

Ekklezyjasta.

Na zachód schyliło się słońce czerwone;
I zmierzch wieczorowy, ponury,
Cichutko się przekradł przez okna pałacu
I cieniem swym okrył marmury.
Spójrz, tam pod kolumną On siedzi... Na plecy
Kędziory mu srebrne spadają,
A myśli głębokie, a myśli pochmurne
W przygasłych mu oczach błyskają. .
„Poznałem już wszystko, co serce przynęca, —.
Tak szepce on z gorzką tęsknicą, —
Zrywałem najlepsze rozkoszy owoce
Zuchwałą i silną prawicą.
Potęga i rozkosz i tłumy służalcze
I władza, co światy zagarnia, —
Ach wszystko to marność, o! marność bez celu,
Dla ducha chorego męczarnia...
Tajemnej mogiły granice tak wązkie
I sen tam i ciemność na wieki.

Jak żebrak spać będę pod pysznym grobowcem
Ja, niegdyś od smutków daleki...
I lata przeminą, i pomnik zapadły
Mą wielkość zagrzebie ruiną..
I echa mej sławy w pamięci potomków
Powoli na zawsze zaginą...
Używaj więc swojej młodości, młodzieńcze,
W zbytkownych rozkoszach miłości,
Śród gwarów i śmiechów pijanej biesiady
I w wirze szalonej radości!...
Bo lata — sekundy, jak wicher, przebiegną;
Czas wszystko, co przeszło, zagarnia;
Ach, wszystko to marność, o! marność bez celu,
Dla ducha chorego męczarnia!"

* * *

I zaszło już słońce za góry chermońskie,
Co szczyty swe wzniosły w półkole...
I wieczór legł cieniem na czole królewskiem,
Na bladem, zmarszczonem już czole.
Król-starzec w koronie nad księgą się schyla
Pochmurną i siwą swą głową, —
I złote marzenia szczęśliwej przeszłości
W pamięci odtwarza na nowo...

Fata morgana.

Nie tam, gdzie nieba strop, palącym dysząc zno-
[jem,
W powietrze leje żar i wskroś tęsknotą tchnie,
I gdzie czerwony step piasczystem łonem swo-
[jem
W bezbrzeżną tonąc dal, w ponurym drzemie
[śnie;
Nie tam, gdzie z braku wód znużona kara-
[wana
Leniwy wlecze krok, brnąc w piasku po ko-
[lana,
Gdzie smagły stepów syn, Beduin z chmurnym
[wzrokiem,
Swój zaostrzony słuch wytęża nadaremnie,
I chwyta każdy dźwięk, i tęskni potajemnie,
Śród tych zamarłych stron, pod niebem tem sze-
[rokiem,
Nie tam, lecz tutaj, tu, gdzie zorza taka blada,
I gdzie w wilgotną mgłę blask słońca tęsknie
[wpada,
Tu śród północnych stref, ja marzę... ileż razy
Powietrzny szereg widm i światła i obrazy!...

* * *

Żegnajcie wszyscy wy, współbiesiadnicy mili,
Wy, coście ze mną wraz za głośną sławę pili!
Od moich dawnych snów uciekam w szlak su-
[rowy;
Ja innych kwiatów chcę, ja zorzy szukam no-
[wej,
I inna sława dziś błysnęła mi w oddali
W tajemnej czarów mgle... Nie szczękiem gro-
[źnej stali,
Nie ślepych mocą sił, nie krwią, co bucha
[z łona, —
O, sława ta nie tem zdobyta i kupiona:
Z tablicą mądrych praw, z cudowną pieśnią
[wieszcza,
Przed cichy kroczy tłum i tam się zjawia ona,
I wróżbą wielkich dzieł zdziwiony słuch upie-
[szcza,
I wszystkich podłych dróg klnąc ciemność i za-
[wiłość,
Zwiastuje prawdy blask, wszechwolność i wszech-
[miłość!
Na głowie wieniec ma, nie z mogił smętnych
[szyków
Zebrane kwiaty w nim—i tron jej nie ruina:
Ma ona zastęp sług, lecz nie ma niewolników,
Modlitwę zna bez łez, wesołość zna bez wina.
Nie gwarna uczta jej — lecz za to wolna droga
Prowadzi przed jej stół. I nie pytają tam:

„Gdzie jest ojczyzna twa? W jakiego wierzysz
[Boga?
Za kogoś wznosił miecz, czyś ty podobny
[nam?!...“
„Przybądźcie wszyscy tu, przybądźcie prawem
[gości:
Ktokolwiek zrobił coś dla prawdy, dla miłości,
Kto walczyć z mrokiem, z złem, szedł śmiało
[na bezdroże;
Kto kroplę szczęścia wlał w ludzkiego bólu
[morze!“
I oto idą już... od wschodu, od zachodu,
Z południa pysznych pól, z północnych idą
[śniegów...
Ach, słyszę brata głos — jak zabrzmiał śród
[szeregów,

. . . .

. . . .

*

* *

Wiem, niestety
Że to jest tylko sen, dziwaczny sen poety,
Co może nigdy, ach, nie wcieli się w tym
[bycie,
A ja zeń, Boże mój, me całe czerpię życie!

Gdy śmierć i zło i mrok ze wszystkich peł-
[zną stron,
Ten sen użycza sił i wiarą moją — on!
Jak cherubina blask lśni śród cmentarnej głu-
[szy,
Tak lśni mi wiara ta, o Panie moich losów!
Więc nie daj zniknąć jej ze smutnych mych
[niebiosów,
Nie dozwól zgasnąć jej w zbolałej mojej du-
[szy!

Poležajew.

Jawnogrzesznica.

I powiadają Mu: „to ona —
O cudzołóstwo oskarżona,
Na miejscu zbrodni pochwycona!
Chcemy ją sądzić wedle prawa:
Kamienowania kara krwawa
Za jej przestępstwo ledwie stanie.
Rabbi! ty ogłoś swoje zdanie!“
Gwar się rozchodził wielki w tłumie,
Co chytry zamiar w sercu knował...
Śród tego w chmurnej swej zadumie
On coś na piasku — z smętną twarzą —
Swym bożym palcem wciąż rysował.
A potem tym, co karać każą,
Spokojnie sąd swój wypowiada:
„Pod wasze prawa grzech podpada:

Żadne jej względy nie obronią.
Nie chcę was z prawem ojców kłócić, —
Lecz który śród was jest bez grzechu,
Co na grzesznicę ciężką dłonią
Ma śmiałość pierwszy kamień rzucić,
Ten niechaj pełni sąd w pośpiechu!"
I znowu pisał coś na ziemi...
A oni z czoły shańbionemi,
Nie mogąc wytrwać w fałszu roli
Poczęli cofać się powoli —
I wciąż się garstka ich zmniejszała,
Oddając dziwnej hołd pobudce,
I przed obliczem Jego wkrótce
Tylko grzesznica sama stała. —
A On łagodnie uśmiechnięty
Rzekł do niej: „Pozbądź się bojaźni
A gdzież synedryon twój zacięty?
I któż wymaga twojej kaźni?"
Ona w radości swej dziecięcej —
Nikt! nikt! zawoła. — A on: Jakże
Mógłbym potępić ja sam? Wszakże
Do domu idź, a nie grzesz więcej!"

———

B a r a t y ń s k i

Wyznanie.

Udanych czułych pieszczot nie żądaj odemnie!
Oto serca mojego otwieram ci ciemnię:
Masz słuszność; tam już niema tych pięknych
[promieni,
Co lśnią w nas, gdyśmy pierwszą miłością nat-
[chnieni.
Napróżno wywołuję w oziębłej pamięci
I marzenia uśpione i twój obraz miły...
Nie złamię na wspomnieniach żałobnej pieczęci:
Prawda, dałem przysięgę, lecz dałem nad siły!
Nie żadna inna twarz mnie wdziękiem przynę-
[ciła;
Odrzuć precz mar zazdrosnych dręczące katu-
[sze, —

Ale długa rozłąka moją moc skruszyła,
Ale odmęt życiowy pochłonął mą duszę;
I jako cień niewierny żyłaś odtąd we mnie;
Już mniej często, z przymusem, szeptałem twe
[imię;
Chciałem ogień wewnętrzny podtrzymać dare-
[mnie;
Słabł on ciągle i wreszcie w własnym zagasł
[dymie...
Wierzaj, dzisiaj samotny nędzne wlokę życie;
Dusza pragnie miłości, lecz kochać nie może;
Tylko pierwsza nas miłość upaja w rozkwicie
Nie zapomnę się znowu — już po onej porze!
Tęsknię, lecz i tęsknica przemija, przepada;
Los zagoi, zwycięży wkrótce serce chore...
Być może, wkrótce szara mnie schłonie gro-
[mada,
Towarzyszkę, być może, bez uczuć wybiorę:
I do ślubu jej, zimny, wyciągnę te dłonie,
Stanę przy niej pod chłodnem świątyni sklepie-
[niem
I niewinną, pieszczącą złote sny w swem łonie—
Nazwę ją żony imieniem!...
Wieść do ciebie doleci, lecz nie czuj zawiści:
Nie zwiążą się tą stułą naszych marzeń roje,
Godzina ta gorących naszych żądz nie ziści, —
My nie serca, lecz losy połączymy swoje.

Żegnaj! długo nas niosły jednakowe prądy...
Jam wybrał nową drogę, ty też wybierz nową,
Rozpacz serca bezpłodną chłodną ucisz głową,
Nie wdawaj się w daremne nad mą duszą sądy!
Słabi jesteśmy wszyscy, nie władni w swej
[doli,
Ufamy w młodych latach nazbyt serca głosom,
Pospieszne obietnice dajem z dobrej woli,
Co śmiesznemi się zdają — wszechwidzącym lo-
[som!

Z powodu śmierci Goethego.

Nadeszła — i orle zawarły się oczy
I spokój na starca śpi czole;
Legł cicho, bo wszystko wypełnił ochoczy
Co ziemskie — na ziemskim padole!
Nad dziwną mogiłą nie płaczcie z goryczą,
Że czaszka geniusza — robaków zdobyczą.

Już zgasnął, lecz nic nie zostało pod słońcem,
Co raz choć nie zdążył pozdrowić;
Na wszystko odezwał się sercem gorącem,
Co prosi o serca odpowiedź.

On myślą świat obiegł i wszędy zapukał,
Aż jej w bezgranicznem granicę odszukał.

Karmiły mu ducha i mędrców nauki,
I przeszłe ludzkości koleje,
Legendy, utwory poezyi i sztuki,
I czasów szczęśliwszych nadzieje.
I mógł się on wcisnąć przez marzeń swych
[pracę
I w chatę nędzarza i w króla pałace.

Z naturą on życiem oddychał jednakiem,
Strumyka rozumiał szemranie —
Szept liści pojmował i znosił się z ptakiem
I trawek odczuwał wzrastanie;
I w księgę gwiaździstą wczytywał się złotą,
I morska z nim fala mówiła z ochotą.

On poznał i zbadał całego człowieka, —
I jeśli to życie motyle,
Za Stwórcy wyrokiem nazawsze ucieka
I wszystko się kończy w mogile,
I później nam istnieć i czuć nie sądzono:
Dla Stwórcy mogiła ta będzie obroną!

A jeśli ów żywot istnieje zagrobny, —
On, spełna doczesny poznawszy,

I w echach przedźwięcznych, w rym wplótłszy
[nadobny,
Co ziemskie, to ziemi oddawszy,
Przed Stwórcy tron lekkim uniesie się cie-
[niem
I w niebie go padół nie zrazi wspomnieniem.

M i n a j e w.

W potoku zmian.

Jeszcze wczoraj byłeś z nami
W kwiecie sił, nadziei, lat,
A już dzisiaj, druhu blady,
Twego bytu zniknął ślad.

Tak na świecie wszystko idzie:
Teraz słońce, potem noc,
To zagrzeje duszę szczęście,
To zagaśnie myśli moc.

To wolności widmo błyśnie,
Spojrzysz — już jej nadszedł kres:
To w niebiesiech anioł płacze,
To chichocze w piekle bies.

Alfa i Omega.

Gdy się cmentarz zielenił na wiosnę,
Oni miejscem go schadzki obrali,
Przysięgali tam miłość na wieki,
Pocałunki ze łzami mięszali, —
A umarli w swych trumnach spróchniałych
Cichym śmiechem się wciąż natrząsali.

A chowano *go* w wieczór jesienny,
Dwaj grabarze mogiłę kopali,
Tylko matka staruszka szlochała,
Wiatr jej jęki roznosił w oddali, —
A gdzie *ta*, co twe życie zgubiła?
Ha! umarli się śmiechem ozwali. —

Połoński.

*
* *

Tracąc serce, rozsądek, siłę piersi wrzącą,
Nie daremnie tak ciebie całuję gorąco,
Bo całuję ja Ciebie i za tę, przed którą
Kryłem żądze nieśmiało pod powagi chmurą,
I za tę, co bez ognia sparzyła mi duszę
I szyderstwem swem nieraz zadała katusze,
I za tę, co mi mogła być oparciem silnem,
Lecz, niestety, spoczywa pod krzyżem mogil-
[nym,

Wszystkie czucia, co dla nich płonęły tak jasno.
Dopalając się, w twoich objęciach niech gasną.

Niespokojny trup.

Opłakałem me serce na zawsze
I złożyłem je w piersi mej grób,
Lecz o dziwo! — toć jednak się rusza,
W mojej piersi się rusza mój trup.
Co ci jest moje biedne serduszko?...
    — Ej, na wolność mnie wypuść, chcę żyć!
    Ho! dla każdej ładniutkiej laleczki
    Byłby sens też umierać i gnić!..

*
* *

Pokój tobie, o biedne me serce,
Nie napróżno jam w grobie cię skrył;
I dla kogóż masz żyć? Czyliż warto
Ciągle drżeć i wyzuwać się z sił?
Pokój tobie!... nikt ciebie nie ceni...
    — Ej, na wolność mnie wypuść, chcę żyć!
    Ho! dla każdej ładniutkiej laleczki
    Byłby sens też umierać i gnić!...

Kolcow.

Przyjacielowi.

Miast śród obcych się włóczyć
Z kajdanami swych mąk,
Uwierz w duszy swej moc,
Uwierz w siłę swych rąk.
Do kłopotów swych codzień
Równo z świtem się rzuć
I dzień cały sam jeden
Z całej siły się trudź.
A nie uda się walka?
Z smutkiem w domu swym siedź.
Z nowym świtem, bój nowy,
Z nową troską swą wiedź.
I tak walcz w pocie czoła,
Aż nie zmieni się los;
Aż na sławę twą szczęście
Wzniesie jawnie swój głos!

---

* * *

Zachwycony różą, słowik biedny
W dzień i w nocy śpiewa dla niej jednej;
Róża, milcząc, w pieśni się wsłuchuje,
Aż niewinny sen ją obejmuje...
Tak o lubej czasem młodzian śpiewa
Całą duszę w swoje pieśni wlewa,
Żar miłości zamyka w swym śpiewie,
A wybranka jego nawet nie wie,
Dla kogo on śpiewa i dlaczego
Takie smutne są piosenki jego!

Rastopczyna.

Po co?

I pocóż, ach! w fatalnym dniu spotkania
Błysnęły mi twe zadumane oczy?!
Od tego dnia tęsknota serce toczy
I próżno duch za ciszą się ugania...
Od spojrzeń tych nie ujdę modlitw mocą:
W dzień pomnę je i ciemną głuchą nocą
Wciąż o nich śnię...

I po cóż los prowadził nas ku sobie,
Ażeby wnet rozdzielić nas na wieki?
Mój złoty sen, ideał mój daleki
Tak blizkim był — i pierzchł w tej samej dobie;
Do Ciebie chcę wyciągnąć drżące dłonie,
Lecz wiedz, ach wiedz: choć żar w obojgu płonie,
Nie dla nas szczęścia blask!...

Dla Ciebie los jak barwna lśni ponęta
I wabi Cię olbrzymia życia karta,

I przyszłość twa na oścież jest rozwarta, —
Me życie zaś żelazny łańcuch pęta:
Z nadziei dróg rozsądek mnie oddala
A kochać — Bóg i świat mi nie pozwala.
Więc nie łudź mnie... i pocóż prawdę kryć:
Nie możem wspólnem szczęściem żyć!

Aleksy Tołstoj.

Skazańcy.

Za stepy ukrywa się słońce,
Rzucając promienie swe krwawe, —
Skazańców kajdany jęczące
Podnoszą śród drogi kurzawę.

Brwi gęste ściągnęli ponuro
I naprzód poważnie stąpają,
A w zmarszczkach lęgnące się chmurą
Złe myśli opadły ich zgrają.

I wloką się cienie po ziemi
I trzęsie się fura drewniana;
Żandarmi, zdążając za niemi,
Leniwie zginają kolana.

-- Hej, bracia! zanućmy, a szybko
Zapomnim o naszej niedoli;

Już widać nad naszą kolebką
Świeciła nam gwiazda złej doli!"

I pieśń zakipiała głęboko,
I z serc się wyrwała zbratanych:
O Wołdze rozlanej szeroko,
O latach młodości steranych...

I sławią swobodne burzany,
O dzikiej wolności śpiewają;
Dzień gaśnie powoli, — kajdany
Kurzawę po drodze wzbijają.

Po burzy.

Przeszumiała i przeszła ulewa...
O jej ciosach, o burz nienawiści,
Cichym szeptem rozmawiały drzewa;
I kapały ciche krople z liści...

Księżyc na mnie z poza chmur opony
Patrzył niby łzawem okiem brata...
Jam pod klonem siedział zamyślony,
Wspominając minione me lata.

Nagłej myśli we mnie grom uderzył,
Że czas duszę mi brzydko kaleczy:

Wielu rzeczom bym dawniej nie wierzył,
Nie uczynił byłbym wielu rzeczy!

Wszak przeszedłem wśród życiowych zdarzeń
Po przez intryg, po przez fałszu piekło,
I tak wiele moich jasnych marzeń
Niepowrotnie w ciemną dal uciekło!

Wspominałem tak młodość minioną,
Kiedy-m serce miał czyste i miękkie...
A nademną pod liści osłoną
Siedział słowik i śpiewał piosenkę...

A tak słodką była ta piosenka,
Jakby słowik chciał rzec słówka wieszcze:
„Bądź spokojny... Ukoi się męka...
„Owa piękna pora wróci jeszcze".

---

*
* *

Ach, z dnia na dzień, niby ogień z wodą,
Tak z odwagą walczy zniechęcenie,
Niepogoda idzie za pogodą, —
Chwila blasku, a za chwilę cienie...
    Stąpa życie po nierównej drodze,
    To urwiskiem, to znów po płaszczyźnie,

Przeskakuje dziwacznie i srodze;
To na głębi, to jest na mieliźnie...
Oto tryumf... oto zawód w końcu...
W barwnych zmianach wartko życie płynie:
Myśli przędą-to w chmurach, to w słońcu,
Złote wzory na ciemnej tkaninie...

M a j k o w.

* * *

I choć odeszłaś, wciąż Cię czuję,
Rozkoszą poję się tajemną, —
Śnię, że to anioł uskrzydlony
Zeszedł na chwilę gadać ze mną,

Żem odprowadził go do raju,
A gdy go kręgi nieb posiadły,
W przedsionku jeszcze zbieram pióra,
Co z białych skrzydeł mu wypadły!

F e t.

Cichy szept, nieśmiały oddech,
I słowika śpiew...
Srebrnej fali kołysanie...
Szum zielonych drzew...

Nocnych blasków, nocnych cieni,
Czarodziejski tan —
I na miłem licu szereg
Czarodziejskich zmian.

Na obłokach róż purpura...
Żywszy światła rzut;
Pocałunki... łzy... rozłąka...
Wschód na niebie, wschód.

Tiutczew.

Za myślą myśl — i za falą fala: —
Objawy dwa — jednego żywiołu!
Tamta się w ciasnem sercu zapala,
Ta w bezgraniczny odmęt oddala, —
Jednakim tchem drgające pospołu!
Tamta w zamknięciu, ta śród przestrzeni, —
Pomimo pozór niezmiernie sprzeczny,
Równe, z różnicą tylko odcieni:
Tu i tam przypływ i odpływ wieczny,
Tu i tam widmo, co nic nie zmieni,
Niepokój próżny, byt niedorzeczny!...

Tan.

Rozbójnikom pióra.

(z powodu jubileuszu Puszkina).

Kto zechce, niechaj milczy! Lecz ja nie przemilczę!
Nadto bolą przy święcie wszelkie fałszu tony,
Więc w oszustów nikczemnych, w one plemię
[wilcze,
Rzucę pocisk karzący, jak stal zaostrzony.

Jak gniew mój mam oskrzydlić, jak głos nat-
[chnąć mocą,
By was całkiem zalała mej wściekłości fala,
By was bicz mych wyrazów smagał dniem i nocą,
Bym was jak ostrzem miecza przygwoździł do
[palą?!

Precz od naszego święta! to nie miejsce wasze:
Brak tu żeru, co drwiących zbójców pióra znęca;

I pomnik wieszcza rzuca na was cień, Judasze,
I ćmią wasze spojrzenia blaski jego wieńca.

Kiedy zginął poeta, nie było was jeszcze,
Ale zgon ów sprawiły takie same ręce
I wasi to ojcowie te sieci złowieszcze
Dniem i nocą splatali, w których zginął w męce.

I wasi to ojcowie jako psy go szczuli,
Ze szczekaniem szli wszędy, kędy szedł wy-
[gnaniec,
I w mroku ciosem zdradnym na śmierć go za-
[kłuli,
Zmęczonego zagnawszy na przepaści kraniec.

Lecz wy... wy gorsi od nich! Bo wyście cyni.
[cznie
Nawet podłość swą całą zmienili na grosze,
I handlując potwarzą zdawna detalicznie,
W ulicznem błocie zyski zbijacie potrosze.

Precz od naszego święta! Waszej wstrętnej łaski
Nie potrzeba nam danin! Weźcie swoje dary.
Nie kupią wam honoru zachwycenia maski;
Z drogich waszych kadzielnic swąd zawiewa
[stary.

Dla nas drogim jest dzień ten. Świętość naro-
[dowa
Skupiła wszystkie serca, które wciąż rozżarza
Uroczych wolnych marzeń przeczysta osnowa
Spadek dumań proroczych zgasłego pieśniarza.

I drogim jest nam pieśniarz, co na harfie złotej
Grał ziemi i dźwiękami mógł dusze czarować
I wiek nasz młodociany uczył swemi wzloty
Wieczne dobro i piękno kochać i pojmować.

Lecz wyście po co przyszli z udanym zach-
[wytem —
Jak śmieliście na przodzie tu stanąć, Judasze,
Gdzie każdy na was patrzy z wstrętem nieu-
[krytym
I „precz“ gotów wam krzyknąć: „to nie miejsce
[wasze!“

Nadaremnie patrzycie tak spokojnym wzro-
[kiem,
Wiemy: dawno rumieńcem już wam twarz nie
[płonie,
Nie staniem z wami rzędem, nie przystąpim
[krokiem,
Dotknięciem waszych dłoni nie shańbią się dłonie.

I nawet pomnik martwy — wierzcie memu
[słowu —
Ujrzawszy was w pobliżu — groźnie zmarszczy
[brew,
I rana stara w piersi otworzy się znowu,
I z bronzu buchnie w twarz wam, zabryzga
[was krew!

Omulewicz.

Walka.

On.

Powiadają, że gdym zasnął wczora, —
Do drzwi moich podbiegłszy w przelocie,
Tyś przez szparę zajrzała — i poszła...
Prawdą-ż jest to w istocie?

Powiadają, że później ni chwilki
Nie siedziałaś z haftem przy robocie,
Lecz na spacer z kimś poszłaś we dwoje...
Prawdą-ż jest to w istocie?

Powiadają, nakoniec, że noc tę,
Aż dzień błysnął w słonecznej pozłocie,
Przepędziłaś kędyś, po za domem!...
Prawdą-ż jest to w istocie?

Ona

Powiadają, że śląc po mnie swaty,
Nie myślałeś o mojej ochocie,
Że mnie gwałtem wydano za ciebie...
Prawdą-ż jest to w istocie?

Powiadają, żeś później ni chwilki,
Więżąc w domu mnie, nie był w kłopocie,
I jak lalkę trzymałeś mnie w rękach...
Prawdą-ż jest to w istocie?

Powiadają nakoniec: przyroda
Musi lato mieć w czasu obrocie,
Powiadają, że żyć muszę wreszcie!...
Prawdą-ż jest to w istocie?

Scena z dramatu Puszkina
„Borys Godunow".

N o c. O g r ó d. F o n t a n n a.

Samozwaniec (wchodzi).

Oto fontanna... Ona przyjdzie tutaj...
Ja, zda się, tchórzem nie jestem z natury:
Już nieraz w oczy śmierć mi zaglądała,
Przed śmiercią — dusza nie zadrżała moja.
Wieczna niewola groziła mi pewnie,
Goniono za mną — jam duchem nie upadł,
Mocą zuchwalstwa niewoli uniknął!
Więc cóż mi teraz dech zapiera w piersi?
Co znaczy dreszcz ten nieprzezwyciężony?
Czyli to drżenie natężonych pragnień?
O, nie! to strach jest!... Cały dzień czekałem
Tajemniczego z Maryną spotkania,
Całą rozmowę obmyśliłem naprzód,

Jak oczaruję jej umysł wyniosły
I jak ją nazwę Moskiewską carową;
Lecz przyszła chwila — i nic nie pamiętam,
Słów wyuczonych nie znajduję więcej;
Miłość zaćmiewa wyobraźnię moją...
Ha, coś mignęło... jakieś szmery... ciszej...
Nie!... to są blaski miesiąca zwodnicze
I lekki wietrzyk zaszumiał.

Maryna (wchodzi).

Carewicz!

Samozwaniec.

Ona!... krew wszystka zbiegła mi do serca!

Maryna.

Dymitrze! ty?

Samozwaniec.

Czarowny, słodki głosie! (zbliża się do niej).
To ty, nakoniec! Ciebież-to oglądam
Sam na sam ze mną w cieniach cichej nocy?
Jak wolno mijał dla mnie dzień ten nudny!
Jak wolno zorza zasnęła wieczorna!
Jak długo w nocnej czekałem pomroce!

Maryna.

Godziny biegną — a mój czas jest drogi.
Jam naznaczyła ci schadzkę w tem miejscu
Nie po to, aby słuchać mów pieszczotnych
Kochanka. Słowa nie potrzebne. Wierzę,
Że kochasz. Ale słuchaj: skoro los mój
Z twoim burzliwym losem i niepewnym
Postanowiłam złączyć, to mam prawo
Pewne żądanie stawić ci, Dymitrze:
Pragnę, byś jawnie otworzył przedemną
Wszystkie tajemne duszy twej nadzieje,
Wszelkie zamiary i obawy nawet;
Bym ręka w rękę z tobą śmiało mogła
Puścić się w życie — nie z dziecka ślepotą,
Jak niewolnica płochych pragnień męża,
Jako milcząca nałożnica twoja,
Lecz jako godna twych losów małżonka,
Jak pomocnica moskiewskiego cara.

Samozwaniec.

O, daj zapomnieć choć na jedną chwilę
Mojego losu troski i niepokój!
Zapomnij sama, że widzisz przed sobą
Carskiego syna. Maryno! chciej wemnie
Kochanka widzieć, wybrańca Twej duszy,
Jednem spojrzeniem Twojem szczęśliwego.

Błagań miłości wysłuchaj cierpliwie,
Daj wypowiedzieć, co przepełnia serce!

Maryna.

Nie pora, książe: ty zwlekasz niebacznie,
A zapał twoich stronników ostyga;
Każda godzina gromadzi trudności,
Niebezpieczeństwo staje się groźniejszem;
Oto już rosną szmery powątpiewań,
Oto nowina zamienia nowinę;
I Car Godunow przedsiębierze środki.

Samozwaniec

Co mi Godunow? Czyż w ręku Borysa
Jest twoja miłość, jedyna ma rozkosz?
Nie, nie. Toż teraz patrzę obojętnie
Na tron, koronę i na władzę carską.
O, twoja miłość... cóż mi bez niej życie
I sławy blaski i ruskie mocarstwo?
W głuchej pustyni, w lepiance ubogiej
Ty mi zastąpisz królewską koronę
O, twoja miłość.

Maryna.

Wstydź się, zapominasz
O swojem wzniosłem, świętem przeznaczeniu!

Twe dostojeństwo winno ci być droższem
Od wszelkich uciech i upojeń życia:
Nie masz go prawa z niczem porównywać.
Nie młodzieńcowi, szalonemu żądzą,
Usidlonemu czarem mej urody, —
Wiedz, — uroczyście oddaję mą rękę
Księciu — następcy moskiewskiego tronu,
Ocalonemu przez losy cudownie.

Samozwaniec.

Przestań mnie dręczyć, urocza Maryno,
Nie mów, że tylko dostojeństwo moje,
Nie mnie wybrałaś. Maryno! ty nie wiesz,
Jaką trucizną zalewasz mi serce.
Jakto! więc gdyby... Straszna wątpliwości!
Mów, gdyby ślepej Fortuny zrządzeniem
Jam się nie rodził w teremach książęcych,
Gdybym ja nie był synem Iwanowym,
Tem zapomnianem przez świat pacholęciem, —
Wówczas... ha! wówczas... czybyś mnie ko-
[chała?

Maryna.

Dymitry, nikim innym być nie możesz
Innego kochać mi nie wolno.

Samozwaniec.

Dosyć!
Dosyć! Kochanki nie chcę dzielić z trupem
I brać zmarłemu to, co doń należy;
Dosyć udawań! powiem całą prawdę!
Dowiedz się zatem, że Twój Dymitr zdawna
Zginął, pochowan — i nie zmartwychwstanie;
A chcesz-li wiedzieć, kto ja jestem taki?
Więc proszę, powiem: jam biedny zakonnik;
Zbrzydziwszy sobie niewolę klasztorną
Pod włosiennicą w sercu-m wypiastował
Swój plan odważny; zgotował cud światu;
I wreszcie z celi uciekłem zuchwale
Do ukraińskich swobodnych kurzeni.
Koniem i szablą władać nauczony;
Przybyłem do was, nazwałem się Dymitr
I łatwowiernych Polaków podszedłem.
Cóż na to powiesz, ty, pyszna Maryno?
Czy jesteś rada z mojego wyznania?
Dlaczego milczysz?

Maryna.

O hańbo! o biada! *(Milczenie).*

Samozwaniec (cicho)

Dokąd mnie uniósł dziki poryw gniewu!
Z takim wysiłkiem zbudowane szczęście

Być może teraz zwaliłem nazawsze.
Co uczyniłem, szalony? *(Głośno)*
Ha, widzę.
Wstydem cię poi miłość nieksiążęca;
A zatem wymów wyroczne twe słowo:
W rękach twych teraz losy me się ważą;
Rozstrzygaj, czekam. (*Pada na kolana*).

Maryna.

Biedny samozwańcze!
Czy mniemasz może, że stojąc na klęczkach,
Zdołasz rozrzewnić ambitne me serce,
Jak słabe serce naiwnej dzieweczki?
Mylisz się, panie: u stóp swych widziałam
Świetnych rycerzy i grafów szlachetnych;
Lecz ich błagania odrzucałam chłodna
Nie po to, aby dziś zbiegłego mnicha...

Samozwaniec (wstaje).

Maryno, nie gardź młodym Samozwańcem
Bo w nim, być może, kryją się zalety,
Które są godne Moskiewskiego tronu
I godne ręki twej nieocenionej.

Maryna.

Zuchwalcze! godne haniebnego stryczka!

Samozwaniec.

Tak, zawiniłem; opętany dumą
Jam oszukiwał i Boga i królów,
Kłamałem światu; lecz nie ty, Maryno,
Możesz mnie sądzić; przed tobą jam czysty.
Ciebie, Maryno, ja zwodzić nie mogłem,
Tyś była dla mnie jedyną świętością,
Przed którą maski nie śmiałem utrzymać...
Miłość, zazdrosna miłość, ślepa szałem,
Jedna zdołała wyrwać mi wyznanie

Maryna.

Szaleniec, czem się przechwala przedemną!
I któż wymagał przyznania od ciebie?
Skoro, włóczęgą będąc bezimiennym,
Mogłeś cudownie olśnić dwa narody,
Winienbyś tedy przynajmniej być godnym
Swego tryumfu i przedziwnie śmiałe
Swoje oszustwo umieć zabezpieczyć
Głęboką, wieczną, ścisłą tajemnicą.
Czyż mogę, powiedz, powierzyć się tobie,
Wstyd swój dziewiczy i ród zapomniawszy?
Czyż mogę łączyć twe losy z mojemi,
Gdy z naiwnością taką lekkomyślną
Ty sam swą hańbę ogłaszasz tak łacno?
Dobry! z miłości dla mnie się wygadał!
Dziwię się po tem, żeś przed moim ojcem

Z przyjaźni dotąd nie otworzył duszy,
Żeś się z radości nie zdradził przed królem,
Wreszcie przed panem Wiśniowieckim dotąd
Nie odkrył prawdy przez sumienność sługi!

Samozwaniec.

Klnę się, że serca mojego przyznanie
Ty jedna mogłaś wymęczyć, Maryno;
Klnę się przed tobą, że nigdy i nigdzie
Ni w czas biesiady, z zapomnienia czarą,
Ni w przyjacielskiej poufnej gawędzie,
Ani pod nożem, ani na torturach,
Ciężkich tajemnic mój język nie wyda.

Maryna.

Przysięgasz! Przeto wierzyć ci powinnam.
Wierzę! lecz powiedz na co się zaklinasz?
Imieniem Boga, może, jak pobożny,
Acz przypadkowy uczeń Jezuitów?
Czyli honorem, jak szlachetny rycerz,
Albo być może jednem carskiem słowem,
Jako syn cara? Czyż nie tak? Odpowiedz.

Samozwaniec (dumnie).

Groźnego duch mnie z grobu usynowił,
Z głębin mogiły Dymitrem mianował,

Wkrąg mnie śród ludów groźną burzę wznowił
Mnie na ofiarę Borysa piętnował!
Jam cara synem. Dość już. Nie przystoi,
Abym przed dumną Polką się poniżał.
Żegnaj na zawsze: zmienne losy wojny,
Moich przeznaczeń obszerne zadania
Tęsknicę serca, mam nadzieję, zgłuszą.
O, jakże Ciebie nienawidzieć będę,
Gdy żar haniebnej minie namiętności!
Teraz odchodzę — topór czy korona
Na moją głowę czekają na Rusi,
Czy w prawym boju znajdę śmierć żołnierza,
Czy na szafocie gorzki zgon zbrodniarza,
Nie będziesz losów moich towarzyszką,
Moich przeznaczeń nie podzielisz zemną;
Lecz, może jeszcze pożałujesz kiedyś,
Żeś odtrąciła udział w moich losach

Maryna.

A jeśli twoje zuchwałe oszustwo
Zawczasu światu całemu obwieszczę?

Samozwaniec

Ty może mniemasz, że boję się ciebie?
Że raczej polskiej dziewczynie uwierzą,
Niźli ruskiemu książęciu? Wiedz zatem,
Że ani Papież, ani król, ni szlachta

Nie myślą nawet o słów moich prawdzie;
Dymitr — nie Dymitr, cóż ich to obchodzi?
Jam dla nich powód rozterek i wojny
To im wystarcza. I możesz mi wierzyć,
Że zmuszą ciebie milczeć, buntownico!
Żegnaj...

Maryna.

Stój książe! Więc słyszę nareszcie
Nie słowa chłopca, lecz mowę mężczyzny.
Ona to, książe, z tobą znów mnie godzi.
Szaleństwa twego poryw zapominam.
Widzę na nowo Dymitra. Lecz słuchaj:
Już czas! czas wielki! obudź się, nie zwlekaj,
Poprowadź pułki na Moskwę co rychlej,
Kreml oczyść, zasiądź na tronie moskiewskim:—
Natenczas za mną ślij weselne swaty;
Lecz słyszy Pan Bóg, póki noga twoja
Na stopniach tronu nie wsparła się jeszcze,
Póki Godunow nie strącon przez ciebie,
Miłosnej mowy nie będę słuchała.
(Odchodzi).

Samozwaniec.

Nie, lżej mi walkę toczyć z Godunowem,
Lżej z Jezuitą nadwornym mi gadać,
Niźli z kobietą. Do licha! sił braknie:

Igra to, plącze, wije się i pełza,
Z rąk się wyślizga, syczy, grozi, kąsa.
Żmija! a, żmija! Nie próżno tak drżałem:
Niewiele brakło, aby mnie zgubiła.
Skończone! — jutro dam hasło wymarszu!

Henryk Heine.

Wicli-pucli.

Preludjum.

Oto jest Ameryka!
Oto istny Nowy-Świat! —
Nie dzisiejszy, co już więdnie,
Z europejska wykrzywiony, —
To ów dawny Nowy-Świat;
Jak go jeszcze Krysztof Kolumb
Z oceanu fal wyciągnął...
Jeszcze lśni się wód świeżością,
Jeszcze perły wód zeń kapią,
Rozpryśnięte, różnobarwne,
W pocałunkach słońca drżące...
Pełnią zdrowia tchnie ów Świat!

Bez romantyki cmentarza,
Bez śmietnika starych skorup
Z resztek peruk skamieniałych
I symbolów zapleśniałych...
A ów zdrowy grunt wydaje
Zdrowe drzewa — nie masz tutaj
Zblazowanych, chorujących
Na wyschnięcie mlecza — drzew.
Na konarach tu ogromne
Dziwne ptaki się kołyszą,
Kolor piór ich wciąż się mieni,
Sterczą dzioby ich poważnie;
Oczy w ciemnych barw opaskach
Jak przez okulary patrzą,
Ptaki milczą... wtem zakraczą,
Zaświergocą, jak kumoszki!
Lecz co mówią, nie rozumiem,
Chociaż znam języki ptasie,
Równie dobrze, jak Salomon,
Który tysiąc żon posiadał
I języków ptasich tysiąc
Wystudjował, — znał on nowe,
Znał i starożytne, martwe
I wypchane dyjalekty.
Nowy grunt — więc nowe kwiaty;
Nowe kwiaty — nowe wonie!
Niesłychane, dzikie wonie,
Co do nosa mi się cisną,

Rozdrażniając węch namiętnie...
I ów zmysł w wspomnieniach szpera
Dziwną dręczy się zagadką:
„Gdziem ja czuł już woń podobną?
„Czyliż tam na Regentstreet,
„Na słoneczno-żółtem łonie
„Cudnie smukłej tej Jawanki,
„Która ciągle kwiaty żuła;
„Albo może w Rotterdamie
„W białej budce, przy posągu
„Erazmowym, — w sklepie wafli
„Za firanką tajemniczą?...“
Gdy na świat ten nowy patrzę,
Gdy tak patrzę nań zmięszany, —
Zda się, widok mój wrażenie
Równie silne sprawia na nim.
Jakaś małpa spojrzy na mnie,
Przerażona, czmycha w krzaki,
Żegna się i woła: „Widmo!
Ze starego świata widmo!“
Stój, o małpo, rzuć obawę,
Jam nie strach, nie duch, nie widmo;
Życie krwią w mych żyłach kipi,
Jam syn życia najwierniejszy.
Lecz przez pobyt długoletni
W gronie trupów, pewniem od nich
Trupich manier przyjął nieco,
Skrytych dziwactw nabył nieco.

Ale nie dziw, życia wiosnę
Przepędziłem ślęcząc, grzebiąc,
Na historyi cmentarzyskach,
W romantyzmu katakumbach..
Przecz się boisz, luba małpo,
Na twym tyle, w onem miejscu,
Włosów, skóry pozbawianem,
Ukochane barwy widzę...
Czarna, żółta i czerwona, —
Te małpiego tyłu barwy,
Przypomniały memu sercu
Drogi sztandar Barbarossy...

1.

Miał na głowie z lauru wieniec,
A na butach dwie ostrogi,
Złotem lśniące, — jednak był to
Nie bohater i nie rycerz,
Tylko wódz zbójeckiej szajki,
Który w księgę sławy wpisał
Dłonią, w kułak zaciśniętą,
Swe zuchwałe imię: Kortez.
Wpisał je tuż zaraz blisko
Pod Kolumba tuż imieniem, —
I dziś malec kuje w szkole
Dwa imiona te zarówno:

„Krysztof Kolumb“ mówi naprzód
I „Ferdynand Kortez“ potem,
Jako drugie wielkie imię
W nowym świata Panteonie.
Bohatera doli cios to
Jest ostatni najzłośliwszy:
Jego imię ludzka pamięć
Wraz z imieniem łotra wiąże.
Czyż nie lepiej mieć nieznane
Głuche imię, miast się włóczyć
Poprzez długi wieków szereg
W takich imion towarzystwie?
Bohaterem był zaiste
Krysztof Kolumb; miał on serce,
Jako słońce, jasne, szczere,
I tak szczodre, jako słońce.
Człek niejeden dał nam wiele,
Ale on nam więcej dał:
Cały świat nam podarował,
Nowy-Świat — Amerykę:
Oswobodzić nas zupełnie
Nie mógł z ziemskiej tej niewoli, —
Więc rozszerzył nam więzienie
I podłużyć łańcuch umiał.
Czci go za to wdzięczna ludzkość,
Której zbrzydła już nie tylko
Europa zdawna, ale
Azyja, Afryka zarówno!

Jeden tylko wielki mąż
Dał nam więcej i dał lepsze,
Niźli Kolumb — to był ten,
Co nam dał samego Boga.
Ojciec jego zwał się Amrom
Jego matka — Jochabeth
Sam on miał na imię Mojżesz:
To najmilszy mój bohater...
Lecz Pegazie, przy Kolumbie
Zatrzymałeś się przydługo,
A w dzisiejszej mej przejażdżce
Mam za cel Korteza tylko.
Więc rozpostrzej barwne skrzydła,
Mój rumaku, nieś mnie szybko
Do pięknego tego kraju,
Który nazwę „Meksyk“ ma.
Do owego zamku nieś mnie,
Gdzie król sławny, Montezuma,
Dał hiszpańskim swoim gościom
Doskonałe pomieszkanie.
O! nie tylko dach i łoże
Ze zbytkowną obfitością
Dał tym obcym łotrom książe...
Dał im także darów mnóstwo.
Kosztowności, wyrobione
Z złota, z pereł i z kamieni,
Świadczą blaskiem i bogactwem
O monarszej wspaniałości.

Ów poganin bez ogłady,
Ów przesądny barbarzyńca,
Wierzył jeszcze w honor, wierność,
W świętość prawa gościnności.
Zaproszony przez Hiszpanów
Na wspaniałą ucztę, którą
Chcą go uczcić wdzięczni goście,
Zdąża chętnie do ich zamku, —
Otoczony swoim dworem,
Spieszy ufny, miłościwy,
I wstępuje w ich kwaterę
Gdzie go trąby powitały.
Grano teatr. Lecz tytułu
Sztuki nie znam. Może brzmiał on
„Cześć Hiszpańska!“ Wiem to tylko,
Że autorem był sam Kortez.
Autor wyrzekł główne słowo:
Naraz króla napadnięto;
Wiążą go, jak zakładnika
Gwałtem w zamku zatrzymują..
Montezuma zmarł. I pękła
Wraz ostatnia tama, która
Dotąd gości ochraniała
Przed okropną ludu zemstą.
I nastąpił gniewu wylew. —
Jak wzburzone dzikie morze,
Coraz bliżej szumią, huczą
Rozwścieczone ludzkie fale.

Szturm po szturmie wciąż odbija
Mężny Hiszpan. Lud codziennie
Mury zamku znów otacza...
Oblężonych bój już męczy.
A prowiantów dowóz wszelki
Wraz ze zgonem króla ustał,
Z każdym dniem maleją porcyje,
Wydłużają się oblicza...
Wydłużone owe twarze
Wzajem na się spoglądają
Z widmem trwogi i tęsknoty
Za ojczyzną chrześciańską,
Za ojczyzną ukochaną,
Gdzie pobożne dzwony dźwięczą
I gdzie kipi przy ognisku
Smaczne Ollea — Potrida:
W niem Garbantos tłuste pływa.
A z pod gęstej jego warstwy
Śmiejąc się kokieteryjnie
Wonnym czosnkiem tchną kiełbaski.
Wódz naradę zwołał walną,
Uradzono odwrót skryty.
Jutrzejszego dnia przed świtem
Wojsko z miasta ma wystąpić
Mądry Kortez dość był chytry,
Aby wejść do miasta ongi;
Ale odwrót był trudniejszy
I w warunkach stokroć gorszych.

Meksyk miastem jest na wyspie,
Położonej śród jeziora,
Jestto dumna wodna twierdza,
Zewsząd falą otoczona.
Z stałym lądem łączą wyspę
Tylko łodzie, tratwy, — mosty,
Na olbrzymich palach wsparte;
Wkrąg wysepki — niby furtki.
Jeszcze słońca wschód daleko,
A Hiszpanie już gotowi
Do wymarszu, choć pobudki
Żaden bęben nie ogłosił,
Nie chcą goście gospodarzy
Ze słodkiego snu obudzić;
Stotysięczne wojsko Indyjan
Obozuje w mieście właśnie
Hiszpan chciał bez gospodarza
Pozałatwiać swe rachunki;
Lecz gospodarz — Meksykanin
Jeszcze wcześniej wstał tym razem.
On na mostach i na tratwach
I przy wszystkich furtkach czeka
Aby wszędzie swoim gościom
Pożegnalne dać śniadanko.
Więc na mostach, tratwach, wyspach
Hej! szalona wre biesiada;
Strumieniami krew się leje
I upaja godowników.

Ciało z ciałem tam się spiera —
I hiszpańskiej zbroi świetne
Arabeski lśnią odbiciem
Na indyjskich piersiach nagich.
    To rzeźniczych jatek szereg,
    Zda się sunie zwolna, zwolna,
    Z przeraźliwą powolnością
    Poprzez wyspy, mosty, tratwy.
Indyjanin śpiewa, wyje;
Hiszpan walczy, milcząc głucho,
O piędź ziemi każdą walczy,
Grunt chce zdobyć do ucieczki.
    W owym ciasnym wązkim boju
    Europejskich wojen sztuka
    Z swemi końmi, z pancerzami,
    Utraciła szanse zwykłe.
A Hiszpanom w walce nadto
Przeszkadzało mocno złoto —
Uniesiona ciężka zdobycz.
Ach! ten żółty balast grzechu
    Moc odebrał i zawadzał.
    Ów djabelski metal widać,
    Niósł nie tylko biednej duszy,
    Lecz i ciału zgubę również.
A tymczasem barki, łodzie
Pokrywają już jeziora.
Z nich łuczników zastęp strzela,
Siejąc śmierć na mostach, tratwach.

I niejedna strzała w zgiełku
W pierś własnego brata trafia,
Lecz są inne, co trafiają
W pierś hidalgów znakomitych.
Gdzieś na trzecim moście pada
Podchorąży Gaston, który
Niósł chorągiew z konterfektem
Przenajświętszej Panny Maryi.
Ach, w sam obraz na chorągwi
Ugodziły strzały Indyjan;
Tkwi sześć strzał, tkwi w samem sercu,
Tkwi sześć strzał błyszczących, nagich,
Niby sześć złoconych mieczów,
Co pierś Mater Dolorosa
Zdobią strasznem swem przekłuciem
Przy processyjach w dzień świąteczny.
Padł don-Gaston, przy konaniu
Wręcza sztandar Gonsalvowi,
Lecz i ten śmiertelnie ranny
Pada tuż. Naówczas chwyta
Kortez sam chorągiew drogą.
Wódz wysoko sztandar nosi
Na rumaku — do wieczora,
Aż ustaje bój zacięty.
W owym strasznym dniu Hiszpanów
Stosześćdziesiąt śmierć znalazło;
A osiemdziesięciu blizko
Żywcem w ręce Indyjan wpadło.

Oprócz tego mnóstwo rannych
Wkrótce życie zakończyło.
Blizko tuzin koni padło,
Tuzin został przy zdobywcach.
　　Ledwie w nocy Kortez z wojskiem
　　Do wybrzeża lądu dotarł
　　I bezpieczne miejsce znalazł,
　　Gdzie płaczące wierzby rosną.

II.

Po dniu krwawej zgrozy idzie
Noc widmowa, noc tryumfu...
Sto tysięcy lamp radosnych
Wzdłuż i wszerz Meksyku błyska.
　　Sto tysięcy lamp radosnych,
　　Smolnych łuczyw i pochodni
　　Rzuca światło dnia jaskrawe
　　Na pałace i świątynie...
Lśni pagoda Wicli-pucli
Twierdza bożka, zbudowana
Z nagiej cegły — przypomina
Ona dziwnie Babilońskie,
　　Assyryjskie i Egipskie
　　Kolosalne potworności
　　Architektur starożytnych
　　(Patrz obrazy Henri Martin).

Toć to też olbrzymie wschody
Tak szerokie, że tysiączne
Meksykanów roje po nich
Wzdłuż i w górę wciąż się snują...
Wielu z dzikich wojowników
Obozuje tam na wschodach;
Bankiet trwa. Palmowe wino
Strugą płynie, zlewa stopnie.
Poręczowe wschody wiodą
Gzygzakami na platformę;
Jest to rodzaj balustrady,
Kolosalny dach świątyni.
Tam na swym ołtarzu — tronie
Siedzi wielki Witzliputzli,
Meksykański Mars, krwi żądny,
Jest to potwór zły zaiste,
Ale pozór ma tak strojny,
Tak dziecinny i niepewny,
Że pomimo grozy wnętrznej
Budzi w nas do śmiechu skłonność,
Kiedy patrzeć nań tak zbliska,
Nie przychodzi na myśl wcale
Ni szkieletów stos pod Bazel,
Ni Brukselska Manken — Piss.
Z obu boków bożka stoją
Tu duchowni, a tam świeccy,
Pyszny kler na dzień dzisiejszy
Przybrał barwnych piór ornaty.

Na ołtarza stopniach skacze
W purpurowej kamizelce
Człeczek, co ma sto lat przeszło,
A na czaszce ani włosa.
To ofiarnik, arcykapłan,
Ostrzy nóż o marmur stopni,
Ostrzy z śmiechem i z ukosa
Czasem w stronę bożka spojrzy.
Witzliputzli zda się dobrze
Swego sługi wzrok pojmuje, —
Bo rzęsami mruga chytrze
I wargami scicha rusza
U stóp bożka poświęcona
Rozłożyła się orkiestra,
Bije w bębny, dmucha w rogi,
Sprawia chrzęst, brzęczenie, wrzawę,
A w takt dzikiej tej muzyki
Chór indyjski śpiewa pieśni;
Brzmi modlitwa Meksykańska,
Jak miauczenie zgrai kotów,
Zgrai kotów — nie domowych,
Lecz z gatunku wielkich kotów,
Co się zowią tygrysami
I miast myszy ludzi jedzą.
Wiatr przenosi przez jezioro
One dźwięki na wybrzeże
Ku Hiszpanom. Krew im ścina
Echo kociej tej muzyki.

Pod płaczących wierzb gałęzmi
Stoją oni wciąż posępnie,
Patrzą wciąż w kierunku miasta,
Co w jeziora nurtach ciemnych
  Blaski świateł swych odbija,
  Blaski dziwnie przedrzeźniane...
  Patrzą ztamtąd, jak się patrzy
  Z parterowych miejsc w teatrze.
Sceną jest platforma jasna —
Dach świątyni Witzliputzli;
Na tej scenie w dniu zwycięztwa
Mają grać tragedją właśnie.
  Tytuł brzmi: „Ofiara dzikich".
  Treścią sztuki ludożerstwo.

. . . .

. . . .

Ciesz się, ciesz się, Witzliputzli
Wkrótce tryśnie krew Hiszpańska
I pokrzepi woń gorąca
Twoje chciwe powonienie.
  Na ofiarę dziś ci zarzną
  Osiemdziesiąt kęsów dumnych —
  Na kapłańskie stoły pieczeń,
  Dla kapłańskich brzuchów pokarm.
Bowiem kapłan jest człowiekiem,
No, a człowiek — żarłok biedny
Żyć nie może, jak bogowie,
Jedno węch swój karmiąc wonią.

Słyszysz! — bębny brzmią złowrogo,
Świszczą rogi przeraźliwie:
Dają znak, że oto ciągnie —
Ciągnie pochód ofiar śmierci.
Oto wlecze tłum po schodach —
Osiemdziesiąt ludzi wlecze:
Szaty zdarto im i ręce
Mocno z tyłu skrępowano.
Przed posągiem Witzliputzli
Przymuszono ich, by klękli,
By tańczyli śmieszne tańce
Przymuszono torturami, —
Torturami tak strasznemi,
Że krzyk bólu męczenników
Głuszy pieśni kanibalów,
Ludożerczych chórów zwrotki.
Cóż publiczność wobec tego?
Biedny Kortez i koledzy
W jękach, co o pomoc krzyczą,
Głosy druhów swych poznają.
I wyraźnie w głębi sceny
Przy jaskrawem oświetleniu
Widzą miny i postacie,
Widzą noże, widzą krew —
I pobożnie hełmy zdjęli
I na mokrym piasku klękli
I już w niebo psalm się wbija
Pogrzebowy śpiew...

Pośród ofiar krwawej uczty
Był i Rajmund de Mendoza,
Syn prześlicznej przeoryszy,
Którą ongi Kortez kochał.
    Gdy na piersi młodocianej
    Ujrzał zdala ów medaljon,
    W którym krył się obraz matki —
    Łzy spłynęły z ócz Korteza,
Lecz je prędko swą bawolą
Twardą otarł rękawicą,
Westchnął długo i z innemi
Wraz zaśpiewał hymn żałosny!

III.

Gwiazdy coraz bledną, bledną,
I poranne mgły powstają
Z fal jeziora nakształt duchów,
Wlokąc białe prześcieradła.
    Zgasło święto, zgasły światła
    Na pagody dachu, — oto
    W strudze krwi przy sobie leżą
    Ksiądz i świecki, zgodnie chrapiąc.
Lecz czerwony kaftan czuwa
Przy ostatniej lampy blasku...
Słodko drwiąc, żartując groźnie,
Kapłan tak do boga mówi:

„Witzliputzli, Putzliwitzli,
„Luby bożku Witzliputzli!
„Zabawiłeś się dziś pysznie,
„Nawąchałeś woni miłej!
„Otoś miał hiszpańską krew,
„Co się dymi apetycznie,
„Twój wybredny nos z rozkoszą
„Delikatną wciągał woń...
„Jutro jeszcze konie zarzniem,
„Te szlachetne rżące dzieci
„Duchów wiatru i krów morskich —
„Płód nieprawych ich miłostek.
„Będziesz łaskaw, to ci zarżnę
„Jeszcze moich wnuków dwóch,
„Pięknych malców z słodką krwią,
„Moich starych lat osłodę.
„Ale musisz łaskaw być,
„Szereg nowych zwycięztw dać,
„Daj nam tryumf, bożku nasz,
„Putzliwitzli, Witzliputzli!
„Naszych wrogów zgub a zniszcz,
„Cudzoziemców, co z dalekich
„Nieodkrytych jeszcze stron
„Przez ocean ku nam mkną!
„Co z ojczyzny ich wypędza?
„Czyli głód, czy kary cios?
„W kraju siedź, uczciwie żyj —
„Mądre mówi nam przysłowie.

„Czegoż chcą? Ha, złotem naszem
„Zapychają swe kieszenie,
„Wzamian za to przysięgają
„Dać nam kiedyś szczęście w niebie.
„Wprzód sądziłem, że to rodzaj
„Wyższych istot, synów słońca,
„Z mocą grzmotów i błyskawic,
„Nieśmiertelnych, jak bogowie.
„Lecz to ludzie są śmiertelni,
„Ludzie tak, jak my i nóż mój
„Wypróbował w noc dzisiejszą
„Kruchą ludzką ich śmiertelność!
„Ludzie to — i nie piękniejsi —
„Brzydcy tak jak my; niektórzy
„Brzydcy nawet tak, jak małpy,
„Mają bowiem włos na twarzach.
„Muszą być do małp podobni —
„I ogony małpie pewnie
„Noszą skryte w swoich spodniach —
„Boć inaczej po co spodnie?
„Również brzydcy są moralnie...
„Pobożności krzty nie mają,
„Słychać nawet, że podobno
„Własnych bogów pożerają...
„Zniszcz bezbożny rodzaj ten,
„Zniszcz złośliwych bogożerców
„Twym wyznawcom tryumf daj,
„Wiclipucli, Pucliwicli."

Tak do boga kapłan mówi,
I odpowiedź boga brzmi
Głuchym szeptem, niby wiatr,
Gdy sitowie morskie pieści:
„Krwawa kurtko, kurtko krwawa,
„Mordowałeś już tysiące,
„Dzisiaj w własnem starem ciele
„Ofiarniczy pogrąż nóż.
„Z rozprutego wonczas ciała
„Umknie naraz dusza twoja,
„Po kamieniach i korzonkach
„Pójdzie dreptać w onem bagnie,
„Gdzie śród żab, królowa szczurów
„Moja ciocia ją przywita:
— „Hej! dzień dobry naga duszo,
„Jak się ma siostrzeniec mój?
„Czy Wiclipucluje dalej
W słodkiem złotem świetle dnia,
Czy mu szczęście nadal spędza
Z czoła roje trosk i much?
„Lub go może Kaclagara,
Nienawistna chorób furyja,
Drapie czarną ręką z miedzi,
Umaczaną w jadzie żmij?“
„Naga duszo, dasz odpowiedź:
„Wiclipucli kłania ci się
I choroby życzyć kazał,
Oto śle ci przekleństw tysiąc,

„Bowiem tyś go w bój popchnęła —
Radą twą mu przepaść kopiesz —
Oto ma się spełnić wkrótce
Starożytna wieszczba groźna,
„Co upadek państwa wróży
Po przez moc brodatych ludzi,
Którzy na drewnianych płatach
Mają z wschodu przywędrować.
„Ona broni tych Hiszpanów,
Więc musimy upaść w walce —
Ja, z wszech bogów najbiedniejszy,
A wraz ze mną — Meksyk mój!“
„Krwawa kurtko, gdy to spełnisz,
Wpakuj twoją nagą duszę
W kupę piasku — tam śpij słodko,
Byś nie widział mojej zguby.
„Słuchaj: runie ta świątynia,
A ja sam śród kurzu zniknę —
I śród ruin odtąd nigdy
Nikt mnie więcej nie zobaczy.
„Lecz nie umrę; my bogowie,
Jak papugi się starzejem;
Jak papugi się pierzymy
I zmieniamy barwy piór.
„Do ojczyzny moich wrogów,
Do tak zwanej Europy,
Tam ucieknę, nową, świetną
Myślę począć tam karyjerę.

„Tak, mam zamiar się przedjablić,
Towarzyszem ludzi zostać;
Moich wrogów wróg najgorszy
Będę działał chytrze, skrycie.
„Będę dręczył wrogów stale,
Będę straszył ich marami;
Dam im przedsmak piekeł, dam im
Uczuć siarki woń przedwstępną.
„Czy to mędrców, czy to błaznów
Będę nęcił, będę wabił,
Będę tak ich cnotę łechtał,
Że jak dziewka śmiać się będzie.
„Tak na honor, dyjabłem będę,
Na kolegów już obrałem
Lucypera i Beliala
Belzebuba i Astartę.
„Ciebie także proszę, Lilis
Matko grzechu, gładka żmijo!
Naucz mnie twych ciemnych intryg,
Naucz pięknej kłamstwa sztuki.
„Ukochany Meksyk mój
Chcieć ocalić — próżny znój,
Ale pomszczę, pomszczę srogo
Ukochany Meksyk mój.“

H o m u n k u l u s.

EPOPEJA WSPÓŁCZESNA

Roberta Hammerlinga.

(Wyjątki).

Wiek obecny, chrzczony tysiącem trafnych i nietrafnych nazw, wiek pary i elektryczności, wiek wielkich wynalazków technicznych, wiek mieszczaństwa i walki kapitału z pracą, wiek pesymizmu i powszechnego zdenerwowania, wiek fizycznego i moralnego zwyrodnienia, wiek militaryzmu itp. itp. oczekuje na swoją satyro-epopeję, która odbiłaby rysy jego podwójnego oblicza, jego potęgę i nędzę zarazem. Nie zestarzał się wprawdzie jeszcze genialny *Don Juan*, ale od czasu Byrona rozwarło się mnóstwo nowych przepaści, zaogniło się mnóstwo ran społecznych, powikłało mnóstwo zagad ek, brutalna siła wystąpiła z większą bezczelnością,

zgnilizna rozpostarła się szerzej, wzmógł się przesyt i wzrosła niedola, uczucia zlodowaciały bardziej, gorączka złota podniosła się wyżej, małpowanie wielkich idej dosięgło szczytu bezmyślności, wrzawa doktynerów, obwołujących swoje cudowne lekarstwa na choroby ludzkości brzmi hałaśliwiej, rozum nadął się cyniczniej, wypierając uczucie, ludzkość zrobiła szalony krok naprzód — i teraz właśnie grzmoty, zwiastujące burzę, przeciągają nad światem i zalega ciemna noc, wśród której słabe, a kochające serca z utęsknieniem oczekują świtu. Do odlania tego wszystkiego w formy artystyczne potrzeba nowego, a potężnego mistrza słowa i myśli.

Po części to wielkie zadanie pokusił się wypełnić największy pono w drugiej połowie bieżącego wieku niemiecki poeta, Hammerling, w swojem dziele *Homunkulus* (wyd. w roku 1888), które sam nazywa „współczesną epopeją “

Zanim kto inny podejmie trudne zadanie przyswojenia naszej literaturze w całości niezmiernie ciekawego dzieła poety, zwanego „łabędziem z Gracu“, dzieła, nie pozbawionego wad, ale obfitującego w zalety niepospolite, — podaję w przekładzie dwie pieśni poematu (pierwszą i ósmą). Jest to przedruk z „Prawdy“

(Rok 1889, №№ 17—21), gdzie obok przekładu umieściłem w swoim czasie streszczenie całego poematu i krytyczne uwagi.

Pieśń Pierwsza.

Z retorty.

„Brawo!"— wyrzekł Homunkulus,
Całkowicie wykończony,
Z jakiejś wielkiej wprost retorty
Wyskoczywszy śmiało na stół
Uczonego, głębokiego
I doktora i magistra,
Co po trudach niepojętych,
Mocą sił tajemnych chemii,
Z pierwszych bytu elementów
Stworzył go, zestawił, złożył
Ku najwyższej chwale wiedzy.
„Brawo, mój doktorku!" — krzyknął
Po raz wtóry, otulając
Zziębłe członki kaftanikiem,
Co tuż w pogotowiu leżał;
I poklepał miłościwie
Swego twórcę po ramionach.

„Tak, wogóle i z czystego
Fizyologo-chemicznego
Patrząc punktu, mój kochanku,
Utwór twój — to kąsek pracy
Godny pochwał i szacunku.
No, w szczegółach, naturalnie
Da zarzucić się niejedno...“
Ciągnąc dalej w takim sensie
Nasz Homunkul począł sypać
Mnóstwo zdań uczonych, uwag;
Prawił wiele o fibrynie,
Albuminie, globulinie,
Koratynie i mucynie,
O mięszaniu prawidłowem,
I o wielu innych rzeczach —
Swego twórcę i rodzica,
Pouczając, w jaki sposób
Lepiej mógł go był wykonać,
Potem przejrzał tuż leżące
Stosy książek, wziął z nich jedną
I rozwalił się na krześle.
Doktór, milcząc, stał na stronie
I z respektem patrzył z boku
Na swój utwór, niewymownie
Doń podobny: takież miał on
Słabe, mgliste, mądre rysy;
Tylko, że ze zmarszczek starzej
Syn wyglądał, niźli ojciec;

Z drugiej jednak strony, miał on
Wygląd dziecka, lub też — karła.
  Wkrótce począł nasz Homunkul
Ganić i wydrwiwać ksiażkę,
Którą właśnie trzymał w ręku.
Uderzyło to doktora,
Więc zapisał w swym notesie:
„Pierwszy odruch literacki
W lada człeczku — krytykować"
  A tymczasem Homunkulus
Popadł w zapał Zoilowski
I rozwinął naraz dowcip
Tak gryzący, ostry, pieprzny,
Że aż doktór poczuł w nosie
Podraźnienie i chciał wyjść już,
By wykichać się, zjadliwca
Zostawiając w swej pracowni, —
Gdy wtem malec rzucił na bok
Stary szpargał, i ziewając
I kołysząc się na nóżkach,
Oczywiście już znudzony,
Kiwnął naraz na rodzica.
„Ej-no, tatku, słuchaj!" — począł.
„Czego żądasz?" — spytał tamten.
„Powiedz-no mi, proszę, jak ci
Wpadł do głowy dziwny pomysł
Fabrykować mnie, mnie właśnie.
Czemuś raczej się nie rzucił

Na alchemii starej pole?
Toć na świecie dość już ludzi!
Bryła złota znacznie lepiej
Opłaciłaby twe trudy
(A propos, jak stoi Agio?)
Złoto, widzisz, procentuje;
Wszystko inne jest chimerą.
Jesteś, widzę, marzycielem!
Teraz, mój idealisto.
Musisz karmić mnie, odziewać...
O, już czuję głód, pragnienie!“
  Wnet rozkazał doktór przynieść
Z niedalekiej restauracyi
Pieczeń i najlepsze wino,
I szlachetne dary boże
Kładzie przed Homunkulusem.
  Lecz ten tylko dłubie pieczeń,
W wonnem winie język zmaczał,
Krztusi się i gębę krzywi,
W wargę ugryzł się, grymasi,
Stroi miny takie, jakby
Ból żołądka czuł, trze brzuszek,
I na krześle się wykręca,
Napój znalazł obrzydliwym,
Jadło zaś niestrawnem, wstrętnem;
I wyprosił sobie gumę,
Kofeinę, siarkę, przytem
Czystą szklankę alkoholu.

Gdy się tem napoił znośnie,
Do pytania swego wraca:
„Jakżeś wpadł, kochanku, na myśl,
Aby mnie wyprodukować?“
„Mój wspaniały, luby płodzie!“
Odrzekł wówczas zapytany:
„Tyś wynikiem naturalnym
Wiedzy i postępu nauk.
Wiedzieć — jest to módz, kochanku!
Stworzyć ciebie było właśnie
Tak na czasie, jako nigdy;
Stworzon jesteś, bośmy mogli,
Bo wiedzieliśmy, wierzyli,
Że możemy. Więc się stałeś!
Tyś w powietrzu niby wisiał!
Mocą praw i potrzeb czasu
Zjawiasz się, jak fiołki w marcu,
Zjawiasz się, jak chrząszcze w maju,
Lub jak bocian, ptak wędrowny!“
„Dzięki za ten zaszczyt!“ — rzecze
Homunkulus; ale zważ-no,
Za com tobie złożył dzięki...
Bo co tyczy się ogółu
Moich uczuć, świadomości
Mego bytu, tego życia,
Które-ś dał mi, to doprawdy
Nie wiem, czy ci będę wdzięczny.
Niech mnie licho porwie, jeśli

Dobrze czuję się w tej skórze,
Którą-ś utkał mi tak zręcznie:
Dręczy mnie piekielna nuda!
Przerażony doktór zaklął:
„Tam, do dyabła! pocznę wierzyć,
„Że już jesteś zblazowany!“
„A wierz sobie!“ — ziewnął na to
Homunkulus.
A po chwili,
W ton płaczliwy wpadłszy, począł
Skarżyć się, że czuje w ciele
Różnych moc dolegliwości;
Kiedy doktór ze współczuciem
Jął go bliżej rozpytywać,
Stęknął tylko: „Moje nerwy!
Ach, te nerwy!“ A gdy doktór
Wziął go za puls, poczuł jawnie,
Że się ten co moment zmienia:
To jak w febrze galopuje,
To po chwili przypomina
Chód opornej szkapy starej.
A Homunkul wciąż się skarżył,
To na krwi burzliwość, to znów
Na anemię; rodzicowi
Czynił zarzut, że za mało
Wziął żelaza, gdy pierwiastki
W swej retorcie wielkiej męszał.
„Ach, trawienie źle mi idzie,“

Stękał dalej, „i newralgie
Skubią mnie od stóp do głowy.
Spakuj zaraz moje kufry,
Muszę jechać wnet do kąpiel!“
„Urojone są twe bóle,“
Uspokajać jął go doktór.
A Homunkul: „Nie, rzecz cała,
Żeś w szczegółach mnie spartolił;
A ja za to pokutuję!“
Przykro było doktorowi
Słuchać słów tych, więc powiada:
„Cofasz pierwsze twoje brawo?
Mniemasz, żeś się z niem pośpieszył?
Zły twój humor, widzę, wzrasta.
Ha, bezwstydny i niewdzięczny
Jesteś, chłopcze! Mnie zawdzięczasz
Tę tu skórę i te kości,
Tę krew oto i te tkanki,
I ten oddech i te zmysły,
I tę myśl; tak, mnie zawdzięczasz,
Jeśli na tej ziemskiej kuli
Twoich latek z osiemdziesiąt,
Tak jak ludzie urodzeni,
Będziesz żył i kochał, cierpiał!
„Osiemdziesiąt lat? To nie złe!“,
Odparł na to twórcy wyrób.
Mam już teraz życia dosyć!
Jest-li dobrem owo życie?

Nie wiesz, że jest lepszym niebyt?
Hola, zdaj-no mi rachunek,
Jak i jakiem prawem śmiałeś
Wydać mnie na świat, jak śmiałeś
Gwałtem wpleść mnie w koło bytu,
Skazać mnie na nędzę waszą,
Na wasz głód, na wasze brudy,
Na istnienia straszną nudę?
Czyliż jam cię o to prosił?
Nie leżałem-że rozkosznie
Na nicości łonie? Powiedz,
Jakże mogłeś z snu mnie budzić—
Na nic mnie i na nic sobie—
Zmuszać, abym wbrew swej woli
Wlókł się z wami w tym żebraczym
Mniszym istot korowodzie."
„Co za niechęć!"—krzyknął doktór,
„Istny z ciebie hipokondryk,
Przyjrzyj się pięknemu światu
I *używaj*!
Homunkulus
Zaśmiał się: „Co mam się przyjrzeć
Światu? Dobryś! Toć-że oczom,
Które ty mi dałeś, świat ten
Marną wyda się fuszerką,
Jako ja sam! A używać?
Ha, używać! Ze zmysłami
Które-ś dał mi, przy tem słowie,

Lotem żar me ciało przebiegł,
Ale zaraz rozum, który
Mam od ciebie, moją duszę
Lodowatym zziębił chłodem...
Używanie!.. mam się rzucić
Między żar i chłód,—i trwać tak,
Pół gorzejąc, pół kostniejąc?“
Przy tych słowach wzrok małego
Padł przypadkiem na wiszący
Tuż na ścianie w ramach portret
Jakiejś pięknej młodej pani.
„To kokietka!“—rzekł, cmokając,
„Co za oczy! jakie usta!
A policzki! a te kształty!“
Nie mógł się napatrzeć dosyć
Na ten obraz i z uciechy
Jął nóżkami nagle tupać.
Z przyjemnością tak poprawny
Wybuch uczuć widział doktór:
„Kochaj, bratku, ucz się kochać!
To cię wkrótce z tych kaprysów
Złych uleczy! Pragnę właśnie
Ładną wybrać ci dziewczynę,
Dam ci ją za żonę, chłopcze;
Poznasz, co to miłość, wierność!“
„Miłość, wierność?“ — rzekł człowieczek,
I wybuchnął wraz szyderczym
Głośnym śmiechem, aż komnata

Drgnęła: obraz spadł ze ściany.
„Idealizm, marzycielu!“
I tak coraz gorzej skrzeczy,
Coraz srożej wciąż szaleje,
Bez litości drwi z biednego
Swego twórcy, wciąż partaczem,
Ignorantem go nazywa,
A szczególnie mu wyrzuca,
Że zbyt wiele weń fosforu
Wsypał, robiąc go w retorcie:
„Delikatny tak organizm,
A fosforu, jak dla konia!“
Stąd to masa jego mózgu
Myśląc, ślęcząc, płonie ciągle
Jak stos węgla; płomień myśli
Prawie z głowy mu wybucha
I jaskrawem swojem światłem
W każdy kąt śmietniska świata
Analizą swą przenika,
Tak, że jedno mu zostaje:
Wyleźć zaraz ze swej skóry
I gdzieś zabrać się do licha!
„Ha, wdzięczności?“—skończył wreszcie
Szydząc gniewnie, „chcesz wdzięczności
Za to, żeś mnie stworzył, bratku?
Dobrych kijów spora ilość
To nagroda zasług godna!
Zatrwożony, ze współczuc iem

Schylił się nad malcem doktór,
Potem zbliżył się do ściany
I otworzył małą skrytkę,
Chcąc lekarstwo wyjąć jakieś
Dla chorego. W szafce krył się
Zbiór dobrany różnych trucizn:
Mnóstwo małych flaszek stało,
Szeregami ustawionych,
A na każdej widniał napis
Czysty, zdobny; mogłeś czytać
Tam „arszenik,“ „cyankali,“
I tak dalej, i tak dalej...
Chciwie w flaszki wpił się wzrokiem
Homunkulus; jakby kotka,
Liże wargi swe łakomie,
I ot, zaraz, w okamgnieniu
Skoczył, kawał arszeniku
Porwał, chce go gwałtem połknąć;
Z wielkim trudem zdołał doktór
Jad odebrać; pochlebstwami
Go łagodzi. Ciągle myśląc,
Coby począć z swym wytworem,
Uznał wreszcie za najlepsze
Uśpić go natychmiast zdradnie
Za pomocą hypnotyzmu.
Więc znienacka w kark mu dmuchnął, (?)
Mocno wpatrzył mu się w oczy;
Potem wedle zasad kunsztu.

Obie skronie mu naciska,
Wodzi ręką,—i po chwili
Rozpostarty w wielkiem krześle
W śnie spoczywał Homunkulus.
„Chwała Bogu!“ umęczony
Szepnął wraz chemiczny ojciec,
I westchnienie ulgi długie
Z jego piersi się wyrwało.
„Ryzykuję, że ten hultaj
Jeszcze mnie wypoliczkuje!
A, to istne jest djablątko!
No, duchowo mi się udał.
Ale co się tyczy mocy
Ciała, soków mięszaniny,
Konstytucji organizmu,
A stąd uczuć i humoru—
No, w tem sęk jest. To rzecz dziwna,
Że w tej eksperymentalnie,
Materjalnie utworzonej,
I chemicznie zbudowanej
Formie bytu właśnie owo
Materjalne, to cielesne,
Naturalne— tak jest słabem;
Gdy przeciwnie duch i umysł
Bujnie w kwiat się rozwinęły.
Jam odwrotnych czekał skutków,
Trudno przeczyć: deficyty
Są w życiowem gospodarstwie

Młodziutkiego organizmu:
Jednak funkcjonuje—żyje!
Ma słabości, czuje bóle:
Ale jądro—głowę oddam
W zakład—to mi się udało;
I do wielkich czynów został
Powołany ten człowieczek.
Wielką rolę grać on będzie,
Jeśli w świat ten wejdzie jeszcze!
Ale takim, jakim dziś jest,
Wejść nie może! Nie powinien
Zginąć—prawda; lecz nie może
Zostać takim! Czekaj chłopcze,
Hola, trzymam cię za słowo!
Troszkę ciebie „lepiej zrobię!“
Przyspieszony był twój rozwój,
„Sforsowany“ — w tem był błąd mój —
Przez zbyt wielki stopień ciepła,
I przez zbytnią wielkość dawek.
Winien byłem za natury
Iść przykładem: ona nigdy
Jednym rzutem się nie wyrwie
Z tem, co ścicha zamierzyła:
Wie, gdzie czego użyć trzeba:
Tam hamulców, tu znów bodźców;
I w procesie ewolucji,
Po spiralnej form ślimaczych
Wijąc się w odstępach, w przerwach,

To co chce, powoli spełnia.
Tak, mój chłopcze, z twoich nauk
Chcę skorzystać,—znów do tygla
Ciebie wrzucę, zredukuję
Do pierwotnej, zarodkowej
Pra-zasady! Otrzymaną
Czysto materjalną drogą,
Wydystylowaną dobrze,
Pra-materją bytu, którą
Raz już pięknie wydzieliłem,—
(Był to wzniosły tryumf wiedzy!)—
Tę zachowam najtroskliwiej.
Lecz, by indywidualniej
Mógł wykształcić się i lepiej
Zaród ów—inaczej muszę
Postępować z nim *ab ovo!*
Chodź mój burszu! nie trwóż-no się
O swe życie, bo twe *punctum*
Saliens dobrze zachowane:
I w istocie pozostaniesz
Tem, czem jesteś; na twą korzyść
Przekształcony tylko: milszy,
Okazalszy i piękniejszy!"
Z temi słowy wrzucił doktór
Uśpionego Homunkula
Nazad do retorty swojej;
Tam rozłożył i sprowadził
Do bytowej pra-zasady,

Którą odkrył tak szczęśliwie,
Wrócił go do stanu „embryo,“
Zmienił go na prawidłową,
Mięką bryłkę protoplazmy.
A gdy mu się to udało
Po nieopisanych trudach,
Wówczas w sposób tajemniczy
Skrycie zaród ów przeszczepił
W macierzyńskie łono żony
Bakałarza wiejskiej szkółki.

Pieśń ósma.

W nowym Izraelu.

Muzo, ty, co tańczysz polkę
W zręcznem „pas“ trocheów czterech
Przed oczyma przesyconej
Publiczności, wedle taktu
Mej fujarki, którą sobie
Tam, w Parnaskim oczerecie,
Sam wybrałem, sam wyciąłem,—
Niechaj Bóg ci moc zachowa!
Opowiedzieć masz ostatnie,
A najwyższe, najwznioślejsze,

Najważniejsze losy mego
Bohatera Homunkula.
Biedny Munkel! Tyle cierpień
Przeszedł dotąd w swojem życiu,—
Wiele zyskał, wiele stracił,
Zbierał żniwo niewdzięczności
I haniebnej zdrady doznał,
Związał los z nadludzko-piękną
I z nadludzko-mądrą nimfą,
Aby stracić ją na zawsze
Przez głuptasa Lwa-Zająca.
Życzmy przeto nieszczęsnemu,
Aby wreszcie wymarzony,
Wyższy, trwały cel osiągnął,
Lub ażeby spokój znalazł.
Cel ów, który on tak goni,
Jest to Sława, Blask i Wielkość
Nadewszystko zaś — to Tryumf
Homunkula czci na ziemi.
Ach, już czuje się znużonym
Tem dążeniem, tem krążeniem
Do wszystkiego, co nadludzkie;
Prawie rzucił gwiazdę, która
Przy powstaniu mu świeciła.
Nagle, jeszcze raz, sposobność,
Przez zwrot wielki w życiu ludów,
Zachęcając nań kiwnęła,
Aby śmiało w dal podążał.

W owym czasie się zdarzyło,
Że na nowo chrześcianom
Stał się wstrętnym nos żydowski,
Zakrzywiony nos żydowski,
I słyszałeś nagle znowu
O zniknionych dzieciach chrześcian
Które żydzi „niewątpliwie
Pochwycili i zarznęli
Dla tajemnych celów kultu.“
Wraz, na dobrze znany foetor
Judaeorum nagle znowu
Wszyscy stali się wrażliwi
I nerwowi nadzwyczajnie.
I odkryto tuż z pewnością,
Że niezbity fetor żydów
Jest wypływem właśnie tego,
Co „korupcją“ dziś się zowie.
Zapach ów jest starożytnym,
I pochodzi jeszcze z raju,
Dokąd wąż go przyniósł z sobą.
Dla pozbycia się zapachu
Żydom zewsząd chrześcianie
Chrzest gorąco zalecali.
Czem rozmyślniej chrześcianie,
Owi światli chrześcianie,
Chrześcianami być nie chcieli,
Tem usilniej wymagali,
Aby nimi byli żydzi.

Otóż znów, jak tylekroć już,
Hebreici swoje głowy
Widzą w nimbie zajmującym
Udręczonych, męczenników!...
I następne pokolenia
Czas spuścizną znowu darzy:
Zagadnieniem, które trzeba
Znów rozstrzygać, kajdanami,
Które trzeba znowu zrywać,
Sposobnością do zwycięztwa
W nowym ludzkich praw ucisku.
Wreszcie niechęć przeciw żydom
Tak urasta na Zachodzie,
Że wyrokiem uroczystym,
Parlamentu uchwałami,
Za helotów ich uznano,—
Chcąc ich tym sposobem zmusić,
By wrócili do krainy,
Z której ród ich się wywodzi,
Do dalekiej Palestyny.
Tajemniczej nić sympatji
Z owym ludem uciśnionym
Homunkula dziwnie wiąże.
Zmysł żydowski, byt żydowski
I żydowskiej myśli bystrość,
Jak saletry kwas, gryząca,
Chytro-śmiała dzielność w czynie,
I niejedna jeszcze cecha

W charakterze izraelskim,
Stała—tak mu się zdawało—
Nader blizko jego bytu
I Homunkulizmu blizko.
Ej, a gdyby zrobić próbę,
Jeszcze jedną—z Izraelem?
Nadzwyczajnie wielkie dary
Tego ludu wybranego,
Zda się, Wielkość kryją w sobie,
Zda się, wiele obiecują
Dla tych wzniosłych, wyższych celów,
Które on zakreślił sobie.
I w marzeniach Homunkula
Nowe bóstwa się zrodziły—
Nowa Sława, Blask i Wielkość.
Zda mu się, że jest Mesyaszem,
Że ten naród rozproszony,
Pogardzany, uciskany,
Oto on na nowo łączy,
Nową daje mu potęgę!...
Przez te złote sny popchnięty,
Począł Munkel głosić żydom
Wybawienia posłannictwo:
Powrót do krainy wschodniej!
Tam Izrael ma założyć
Nowe państwo, powołane,
By świat cały w końcu objąć,
Zawojować go na nowo,

Poddać pod ojczyzny władzę.
„Dzieci Wschodu, posłuchajcie!“
Mówił słowy natchnionemi
Do nich—„na co zwlekać dłużej?
Toć spojrzenie jedno starczy,
Aby z waszych rysów odkryć,
Z zewnętrznego bytu, z chodu,
Z waszych kształtów i z obejścia,
Żeście wiecznie tu przeklęci,
Żeście obcy na Zachodzie!
Widząc was w zachodnich strojach,
Zda mi się, że widzę szereg
Karykatur, patryarchów
Biblji, w fraki przyodzianych;
I bezczelnie uciskane
W tych filcowych, sztywnych rurach
Ich czcigodne, wzniosłe głowy!
Wierzcie, szczepu semickiego
Krzywonosy młodzian, który
Tutaj w fraku europejskim,
W ciasnych spodniach na cieniutkich,
Niby pałasiki, nogach,
Tak niezgrabny jest i śmieszny,—
Jak bajeczny jaki książe,
Zajaśnieje w wschodnim stroju.
W wschodnim stroju—ach, wierzajcie—
Najparszywszy żyd, na przekór
Wszem szydercom, wypięknieje:

W wschodnim stroju, tego świata
Twór najbrzydszy—mojem zdaniem—
Żydówica stara, godnie,
Jak matrona, błyszczeć będzie.
A największa piękność ziemi,
Zdaniem mem, żydówka młoda,
Cały świat ten oczaruje,
Niby nowa Kleopatra, —
Jak Semiramis zwycięży!“
Te i tym podobne rzeczy
Zasłuchanym hebrajczykom
Munkel dobrze zważyć radzi;
Rozmyślili się i wreszcie
Pogodzili z ową myślą,
By masowo wywędrować
Do tych miejsc, gdzie w dawne czasy
Kwitło państwo ich potężne,
Do ojczyzny swojej boskiej:
Więcej, niźli Munkla słowa,
Nędzny los ich skłonił k'temu.
Bo z dniem każdym chrześcianie
Okrutniejsi byli względem
Nieszczęsnegc hebreity,
Jako niegdyś filistyni
Nad Samsonem się znęcając.
Wreszcie Izrael ostatnią
Najważniejszą kartę przegrał:
Krótko mówiąc, dnia pewnego

Chrześciański świat ogłasza,
Jako jest niewypłacalnym.
Zdawna już od żydów więcej
Pożyczono, niżli można
Było spłacić... Straszny cios ten,
Cios ostatni, a najcięższy,
Katastrofa ta, bankructwo
Chrystyanizmu, dało impuls
Wyprowadzce: żydzi wreszcie
Decydują się oddalić.
Na żydowską wiarę wówczas
Przeszedł Munkel, obrzezaniu
Podległ i nazwisko zmienił:
Zwie się Gothold Efraim Munkel.
A synowie Abrahama
Naczelnikiem go obrali
Swej wyprawy. Jak on do nich
Tak i oni też ku niemu
Czuli pociąg: był im blizkim,
Nie krwią z krwi ich, ani ciałem
Z ciała, ani z serc ich sercem,
Ale duchem był z ich ducha.
Mojżesz, Ksenofont, Firdusi,
Herman Lingg i Dahn i Jordan,
Ci trzód ludzkich poganiacze,
Ci wędrówek ludów piewcy.
Niechaj pióra mi pożyczą,
Abym godnie odmalował

Wyjście ludu wybranego.
„Bywaj zdrów, niewdzięczny świecie,
Niegodziwa Europo!“
Tak wołały, patrząc nazad,
Z portów morza Śródziemnego
Połączone tłumy ludzi:
„Żydożercy wy żarłoczni,
Biada wam! poznacie jeszcze,
Że, choć łatwo połknąć żydów,
Ale trudno jest ich strawić!“
Tysiąc żagli powiewało,
Na obszarach morza gładkich,
A ładownych statków tyleż
Za żydami tuż się wlokło,
Wiozące weksle niespłacone.
Wyjście ludu hebrejskiego
Smutny widok przedstawiało;
Ale świetnym był też za to
Wjazd do miasta Jeruzalem.
Mury lśniły się świątecznie,
Każdy dom i każdą bramę
Przystrajały palm gałązki,
Bruk usłany był kwiatami.
Brzmią cymbały, kotły, harfy,
Młodzież i dziewice tańczą,
Starzy żydzi nucą psalmy.
A najstarsi z ludu jadą
Na wielbłądach tam, na czele.

Między niemi Munkel jechał
Na przepysznym dromaderze.
A przy Munklu prowadzony,
Jak w pochodzie tryumfalnym,
Stary żyd, powagi pełny,
Ahaswerus, wieczny tułacz.
Współplemieńcy wyjść nie chcieli,
Uspokoić się nie mogli,
Aż na jego ślad trafili,
I skłonili, by wraz z nimi
Do ojczyzny świętej dążył.
Teraz z dumą nań patrzyli,
Czcząc w nim święty obraz, który
Stał się ciałem, obraz mocy,
Żywotności Izraela.
W pięknych grupach i oddziałach,
W nieskończonych prawie rzędach,
Podążały rozmaite
Cechy, stany, bractwa żydów;
Każdy oddział z swojem godłem,
Z sztandarami, z symbolami.
Naprzód kroczył cech szachrajski,
Niósł na plecach ciężkie wory.
Za nim rój lichwiarzy-żydów;
Ich emblemat na chorągwi
Wyobrażał Schylokowski
Mięsa funt na szalce wagi.
Dalej rój giełdziarzy-żydów;

Ich emblemat—to fortuny
Kula, w kształcie bomby, która
Pęka z trzaskiem, (*krach* inaczej).
Dalej błyszczy dumna grupa
Potentatów finansowych:
Są to sami baronowie,
Jadą przy karecie złotej,
W której jaśnie-oświecony
Rotszyld siedzi; herb karety:
Hełm na grubym worze złota.
Dalej zdążał nieprzejrzany
Dziennikarzy rój żydowskich,
Dalej znów semicka dziatwa
Apollina, literaci:
Włos w krytyczne laury zdobny;—
Wreszcie tłum szedł różnobarwny:
Moc żydziątek bez opieki,
Mnóstwo tęgich, ślicznych dziewcząt
I przekupek zabrudzonych,
I tak dalej, i tak dalej...
Niezmierzone, niezliczone,
A w porządku, równo, pięknie,
Wybranego ludu dzieci
Ciągną przez ulice pyszne
Miasta palm, Jeruszolaim.
Ach, któż zliczy, nazwie wszystkich,
Którzy błyszczą w tym pochodzie?
Wszystkich Gold- i Silbermanów,

Wszystkich Lilien-Rosenzweigów
Pinkelesów, Porkelesów,
Hündchen-Reisów, Vögle-Ochsów
Schnapper-Ellenów i innych
O nazwiskach jeszcze większych
I sławniejszych... które jednak
Pozwolicie, mi zamilczeć.
Wnet nazajutrz rano Munkla
Ogłoszono królem żydów
Zdawna naród już w nim widział
Zdawna przyobiecanego
Mu Mesyasza, który wprawdzie
Późno, ale przyszedł wreszcie.
O, przedziwny losów zwrocie:
Homunkulus siadł na tronie!
Już rozważa w duchu kwestyę
Towarzyszki tronu godnej,
Królewskiego godnej stanu,
Co ustalić ma dynastyę
Krwi szlachetnej na wiek wieków.
W tem jednego dnia, zdaleka
Do świętego Jeruzalem
Z Europy aż przybywa
Karawana cnych pielgrzymów,
Którzy przyszli się pokłonić
Tu, u stóp świętego grobu.
Traf chciał zdarzyć, że przy grobie
Właśnie w tejże samej chwili

Munkel stał i ważył w myśli,
Czy się godzi nadal znosić
Ciągłe chrześcian nieporządki
Tutaj, w Nowym Izraelu.
Karawana cnych pielgrzymów
Zbliża się, powagi pełna,
I przyklęka w świętem miejscu,
Pogrążając się w modlitwie.
Munkla wzrok spostrzega nagle
Śród pielgrzymów piękną, bladą
Twarz kobiecą; zdaje mu się,
Że już kiedyś gdzieś ją widział.
Bada rysy tej kobiety,—
Nieba! czy to sen go łudzi?
Ta pobożna, piękna, blada
Mniszka,—czyż to Loreley?
„Ona-ż to jest, moja nimfa?“
Pyta siebie: „jak się dowiem?“
Śledzi, kraj jej szaty uniósł,
Zbadać chce, czy nie wilgotny.
Nie,—jest suchy, pełen kurzu.
A jednakże to jest nimfą!
Jak zielone Renu fale,
Błyszczą piękne oczy mniszki
Nie zapomni tego blasku,
Kto raz widział oczy nimfy!
Tak, w istocie, to jest Lorley!
Od owego czasu, kiedy

Za zwycięzkim poszła wodzem,
Opuściwszy męża, Munkla,
Ta kobieta o naturze
Tak niestałej, niespokojnej,
Zmiennej, ciągłych wrażeń żądnej,
W nową fazę weszła, dzisiaj
Stała się pobożną mniszką.
Lorley-Munkel—oko w oko,—
Ona męża widzi, z głową
Zdobną królów dyademem,
On dostrzega w niej kobietę,
Która jakby dlań stworzona,
Równie jak i on nadludzka,—
Mogli-ż być obcymi sobie,
Przejść, jak wrogi, koło siebie?
  Skinął na nią, od świętego
Miejsca wabi ją ku sobie;
Ona idzie za nim śmiało,
Opowiada mu o zmianach,
Które przeszła lat ostatnich.
  „Do Ameryki przybyłam—
Rozpoczyna swą opowieść—
„Z śmiałym wodzem rewolucji,
Lwem-Zającem, który—jak ci
To wiadomo—podczas najścia
Amazonek w Eldorado,
Swoją branką mnie uczynił.
Tam, za morzem, mój Lew-Zając

Na wolności i równości
Trwałym gruncie, wielką rolę
Wnet odegrał i bogatym
Został wkrótce plantatorem.
Teraz niezłe ma widoki,
Prezydentem pewnie będzie
W sławnem państwie Yankeesów.
Lecz mnie czekać na to, brakło
Cierpliwości i ochoty,
Bo zmieniony na filistra,
Na meklera, na suchego
Cyfr człowieka, mój Lew-Zając
Wydał mi się szorstkim, wstrętnym,
Dumą złota wzdętym brzuchem.
Kilka lat następnych żyłam
Śród mormonów nad jeziorem
Słonem, jako szanowana
Pierwsza z żon wielożennego
Mormońskiego naczelnika.
Był to kaprys ciekawości!
Chciałam właśnie pisać studyum
O *małżeństwie*—lecz znów począł
Przeć mnie popęd do działania.
Zapragnęłam oswobodzić
Moją płeć od jarzma mężczyzn,
Chciałam zrzucić najpodlejsze
Z jarzm: wierności obowiązek.
Lecz niewolę tą znieść może

Tylko równe z mężczyznami
Prawo *pracy* płci niewieściej.
W imię tego prawa mężnie
Wystąpiłam więc do walki.
Lecz mężczyzni kląć poczęli:
„Dla nas samych dziś zaledwie
Starczy pracy; cóż się stanie,
Gdy połowę naszej pracy
Zechcą wziąć kobiety sobie?“
Widząc, że starania moje
Rozbijają się o dzikie,
Brudne mężczyzn samolubstwo,
Rzekłam: „żegnaj“ Zachodowi.
„No, i stałaś się dewotką?“
Zażartował Munkel, ale
Gorzki uśmiech drgał mu w twarzy.
„Za natchnieniem serca idąc,
W tę pielgrzymkę się udałaś?“
„Czemuż nie?“—odparła Lorley
„Toć istnieje w sercu popęd,
By w pielgrzymce do miejsc świętych
Dziki uczuć wir uciszyć
I istnieniu nowy powab,
Z nową zmianą wraz, użyczyć.
Często właśnie u światowych
Kobiet, u poważnej sceny
Bohaterek...“
„Pięknych grzesznic

W ogólności!"—przerwał Munkel—
„Tak, grzesznice piękne czasem
Uczuwają w sercu takie
Poruszenia pobożności!"
„Częściej niż ty sądzisz"—rzekła
Lorley, „i poważnie wówczas
Czują piękne te grzesznice!"
„Nimfy czują też poważnie?"—
Spytał Munkel z drwiącym śmiechem.
„Przecież nimfy—ich natura,
Ich wrodzone cechy bronią
Przed starością i zwiędnięciem!"
„Nimfy czują też poważnie,
Gdy po ludzku zaniemogą!"
Rzecze na to skromnie mniszka.
Jej poważny ton brzmiał dziwnie,
Głowę na pierś opuściła.
„Lecz tym razem"—odrzekł Munkel
Zlekka drwiąc, „tym razem może
Parła cię tęsknota trochę,—
No, tęsknota *nieświadoma*
Za twym starym przyjacielem,
Chciało się go ujrzeć jeszcze,—
I tem bardziej, że przyjaciel
Zdobył przez ten czas *koronę*.
Prawda, że korona złota
To gatunek jest najlepszy
Złotej rudy?... rudy, którą

My oboje tak kochamy!...“
Mówił to z uśmiechem; z śmiechem
Wdzięcznym zamiast odpowiedzi
Ramionami wzrusza nimfa...
  Sarkazmami smaga Munkel
Jeszcze wciąż niewierność żony.
Lecz ta wzywa sztukę wody
W pomoc, lśniącym cudnie perłom
Łez na rzęsach igrać daje,
I już Munkla gniew łagodzi
I do zgody go nakłania.
Wnet na drugi dzień, dojrzale
Rzecz zważywszy, postanowił
Jeszcze raz jej nadać prawa
Swej małżonki. Wzrokiem, usty,
Piękna nimfa mu ślubuje,
Że po tylu doświadczeniach,
Już się więcej złudzić nie da
I dotrzyma mu wierności·
  Lorley staje się żydówką.
Munkel swemu narodowi
Jako żonę ją przedstawia
Znów po stracie odzyskaną!
Odtąd w blasku sławy przy nim
Na Dawida tronie siedzi!
O, dziwaczny losów zwrocie!
Homunkulus, ha! na tronie
I koronę nosi nimfa!

Munkel czuje teraz jawnie,
Że nie został powołany
Na korono-nosza tylko,
Na próżniaka—króla. On chce
Być czemś więcej, niżli król, chce
Być Mesyaszem swego ludu!
Czyż nie wzrasta człek z swym celem,
Jako dom z ślimakiem wzrasta?
Nowy Mesyasz świat zadziwi,
Będzie Mesyasz to *Rozumu*,
Co osiągnie większy tryumf
Niżli biedny galilejczyk,
Który był Mesyaszem *Serca*
I na krzyżu miał nagrodę.
„O, ten słaby człowiek“—mawiał...
By wrodzoną bystrość żydów
Jeszcze podnieść i rozwinąć,
Munkel szkołę wnet zakłada,
Wyższą szkołę, której celem—
Mądrość życia szczepić w ludziach
I odnowić talmudyczny
Dar krętactwa i subtelność,
Tylko w duchu nowoczesnym
I już na praktycznym gruncie.
Wraz ogłasza posłannictwo
Już trzeciego testamentu,
Co dopełniać ma, wyjaśniać
Oba stare testamenty

Na tej drodze wkrótce kryty-
ko-praktyczno-eklektyczny
Zmysł żydowski—niebywały
Dotąd w dziejach szczyt osiąga.
Lecz cóż z tego?! Dla olbrzymich
Tych zdolności wązkie były
Szranki czynu, działalności.
Sami z sobą, w ciasnem kole
Współwyznawców, byli żydzi,—
Czem pokrywa jest bez garnka.
Wszyscy równie chytrzy, śmiali,
Bez skrupułów i bezczelni:
Nikt nikogo okpić nie mógł,
Nie pożyczał nikt u innych.
Rotszyld włóczył się, jak żebrak,
Nocą, skrycie, po ulicach.
Recenzentom zbrakło wątku
Do sprawozdań słonych, pieprznych,
A szyderców ostrym zębom
Materjału do szarpania.
Satyrycy gryźli pióra
I ziewali, pan Fritz Mauthner
Nie znajdując „słynnych wzorów“
Gryzł się własną swą nicością
I sam siebie parodjował.
I tak w jedno wielkie Ghetto
Zmienił się gród Jeruzalem;
Na światowym jego rynku,

Nie znajdując kupców, starej
Garderoby stos pleśnieje.
Swój znudzony lud na nowo
Pragnąc zająć i ożywić,
Munkel wpadł na myśl: zakłada
Wielką „giełdę towarową,“
Gdzie towary kupowano
Na to, by je znowu sprzedać;
Co dzień nowo-utworzone
Sprzedawano tam „wartości;“
Z rąk do rąk z szybkością piłki
Przechodziły one; a że
O istotną wartość rzeczy
Nikt nie pytał, tylko każdy
Grał na zwyżkę, albo zniżkę,
Wkrótce zatem zardzewiałe
Igły, haftki, drobne muszle
I ogony szczurze, ba! toć
Nawet weksle niespłacone,
A zabrane przy wyjeździe,
I ich „kursa“ notowano.
Gra giełdowa ożywiła
Wprawdzie ducha spekulacji
I zajęła spryt i dowcip,
Dała pole doskonałe
Do manewrów błyskotliwych,—
Lecz w ogóle posłużyła
Ku rozrywce ducha raczej.

Jako pewien rodzaj sportu,
Niżli dla pożytku nacji.
Gorszy nadszedł czas. Niepokój
Zapanował. A Izrael
Był żołądkiem, który groził,
Że sam siebie strawi wreszcie,
Bo materji dowóz ustał
Dla gryzących jego soków.
I poczęli wreszcie żydzi
Szemrać, sarkać na sklejenie
Chorobliwe hebreitów;
I nieznośnym im się wydał
Własnej skóry orjentalny
Wyziew, pot skoncentrowany,
I poczęli w dal znów tęsknić
Na swobodę rwać się znowu.
Ich najlepsi wieszcze grali
I śpiewali smutne hymny
Z czasów wyjścia z Babilonu.
Rotszyld popadł w obłąkanie,
Klął tabliczkę Pytagora,
Do kabały się przerzucił
Plótł z Apokalipsy brednie,
I na rynku i na giełdzie
Głosił wszem, że jest prorokiem
Jeremiaszem; jako żebrak
Unikany był przez naród.
Na starego Ahaszwera

Spoglądali współplemieńcy,
Jako przedtem z czcią i z dumą,
Tak dziś chmurnem, krzywem okiem:
Nieśmiertelny ludu żywot,
Który w nim się uosobił,
Wszystkim klątwą się wydawał.
Zmęczonymi wędrowcami
Sami siebie nazywali,
I ogarnął wszystkich przesyt
I do bytu zniechęcenie.
Z drugiej strony—świat zachodni
Zaznał jakąś dziwną pustkę,
Kiedy żydów w nim nie stało.
To powszechny brak zakwasu
Dał się uczuć w życiu ludów!
Puste były wszystkie giełdy,
Kulał obrót spekulacji,
I w codziennej prasie wkrótce
Dał się czuć brak reporterów,
Coby wszędzie nos wścibili.
Wstrętnie wzięła górę sztuka
I poezja; korzystając
Z oddalenia kotów, myszy
Jęły tańczyć na Parnasie.
Wzmogły się niemniej i pewne
Najprzykszejsze z chorób skórnych,
Bo najlepszych specjalistów
W owym fachu brakło właśnie.

Złota młodzież—żydów teraz
Wspominała z westchnieniami.
A niektóre ludy całkiem
Podupadły; wyszło na jaw,
Że nie mogą ani umrzeć,
Ani żyć bez Izraela.
Dały słyszeć się już głosy,
Co żądały, by wezwano
Izraelski lud z powrotem.
  A tymczasem nuda, niechęć
W świętym grodzie Jeruzalem
Rosły ciągle. Groźny kaprys
Ludu szukał swej ofiary
I wskazywał Munkla głowę.
Co do reszty oburzyło
Cały naród przeciw niemu,
To, że Munkel, by zapobiedz
Powszechnemu odrętwieniu,
Pchał swój naród do *dzieł* wielkich,
Wymagając, by świat cały
Siłą miecza zawojował.
Nie obiecał-że im wprzódy,
Że zwycięzko świat zdobędą,
Nie przelawszy krwi, orężem
Ducha tylko, swą mądrością,
Swoim sprytem i nadludzkim
Krytycyzmu górnym wzlotem?
I cóż wyszło z tych obietnic?

Tajemniczo fermentując,
Spisek dojrzał i wybucha;
Wierni Munkla wnet stopnieli
Do tchórzliwej, drobnej garstki.
Buntownicy szturmem wzięli
„Nowy Syon,“ jego zamek.
Pochwycili swego króla
I wrzucili go do lochu.
Osądzono Munkla na śmierć:
Nie od miecza ma śmierć ponieść,
Nie od stryczka katowskiego,
Nie od kuli, gilotyny,
Wedle obcych praw zachodu,—
Nie! ma być ukrzyżowany,
Jak chce stary zwyczaj kraju.
I prowadzą go już kaci
Po za mury miasta, tam, gdzie
Krzyż męczeński już wzniesiono:
Groźnie sterczy na pagórku
Wyciągnięte Munkla ręce,
Wyciągnięte Munkla nogi
Przygwożdżono wnet do belek.
Naraz z miasta wystąpiwszy,
Rój nieznanych posłanników
Snuć się począł między ludem,
Zgromadzonym wkoło krzyża;
To poselstwo wywołuje
Niepojęty ruch, wzburzenie,

W tym ogromnym żydów tłumie,
Który naraz, jak mrowisko,
Gdy w nie kamień, płosząc, wpadnie,—
Począł roić się w zamęcie
I w nieładzie dziwnym tłoczyć,
Tak, jak mrówki, tylko nie tak
Cicho, głucho, ale głośno:
Wrzeszcząc, piszcząc, hałasując.
To wysłańcy są zachodu,
Co przybyli do tych brzegów
I przywieźli hebrejczykom
Zaproszenie Europy.
Obiecują dać natychmiast
Odepchniętym równe prawa
Pod jedynym tym warunkiem,
Że te weksle, które dotąd
W rękach synów Abrahama
Przechowały się, a które
Podpisane są przez chrześcian,
Co mieszkają na zachodzie,
W dniu powrotu żydów będą
Poniszczone i podarte
I spalone! Oto wszystko!
Słyszą to izraelici,
Szał ogarnia dusze wszystkich.
Rotszyld aż koziołka fiknął,
Wszyscy poszli jego śladem.
Nie chcą zwłóczyć i w zapale

Na wezwanie już iść pragną:
Co za dzikie skoki, tańce!
Jakież to zabawne gesta!
Ani dnia, godziny nawet
Nie chcą stracić,—cały naród
Na gwałt zbiera swe manatki,
Swój dobytek,—jak szalony
Spieszy na wybrzeże morskie
I zapełnia wnet okręty.
Biedny Munkel sam pozostał,
Na wysokim krzyżu wisząc;
Z jasnych wyżyn swego wzgórza
Na tę scenę w dół spogląda.
Nikt nie troszczy się o niego!
On jest martwy, opuszczony,
Zapomniany i zgubiony.
A tymczasem noc zapadła,
Ale księżyc jasny wzeszedł.
Munkel widzi, jak ku morzu
Ciągną wciąż obywatele
Jego państwa, ach, ci zdrajcy
Co złamali jemu wiarę,
Co ojczyzną się znużyli!
Widzi zdala na wybrzeżu
Wielki ogień, skąd pod niebo
Ulatują dym i iskry;
Tam się w popiół zmienia zwolna,
Głucho trzeszcząc, papierowy

Dług olbrzymi zachodowców...
  Tak godziny przemijają
I straszliwa grobu cisza
W koło pustą dal zalega,—
Munkel wisi wciąż na krzyżu
Opuszczony, zapomniany;
Tylko sępy, tylko kruki,
Kracząc, krążą po nad krzyżem.
  Ale oto w mgle księżyca
Tam od siwych skał tych stąpa
Jakaś dziwna postać—starca:
Starodawne lica; czoło,
Poorane w bruzdy; sucha,
Zżółkła skóra; twarde członki;
Jak u duchów, fosforycznie
Srebrny, długi włos migocze.
Tylko lśni się dwoje oczu,
Jak dwa węgle, pozostałe
W szarym mumji tej popiele.
  Był to Ahaszwerus, tułacz
Wieczny, przez śmierć zapomniany;
On niepostrzeżenie z wszystkich
Został sam przy Munkla boku:
Tylko *jeden* żyd—żyd *wieczny*.
Teraz po pod krzyżem stoi,
Głową zwolna wstrząsa, drżą mu
Białe włosy przy tym ruchu,
Wlepił lśniące oczy w Munkla,

Przytłumionym głosem szepcze:
„Czy i ciebie chce zapomnieć
Śmierć, nieszczęsny synu ziemi?“
„Tak,“ z westchnieniem odparł Munkel—
„Pozostawia mnie na krzyżu
Wiszącego śród męczarni
Między niebem tem a ziemią,
Między życiem tem a śmiercią.
Wszyscy dziś mnie porzucili
I uciekli precz odemnie,—
A tak całkiem bez litości,
Że mnie nawet nie dobili.“
Czy to śmiech był, czy westchnienie?—
Co wyrazić chciał Ahaszwer
Przez wstrząśnienie srebrnowłosą
Głową na te słowa Munkla?—
Po milczenia krótkiej chwili
Znowu skarży się męczennik:
„Tak, porzucił mnie, odstąpił,
Ten tchórzliwy motłoch żydów,
Ten bezecny, ten nikczemny!...
Ja pogardzam niemi dzisiaj
I szczęśliwy jestem, że mi
Oszczędzili już widoku
Lic swych, bogom nienawistnych,—
Czy żyć będę, czyli umrę...
Jeden tylko ból mnie trapi
O istocie jednej myślę:

Moja żona, towarzyszka
Mojej władzy, mojej chwały, —
Którą wzniosłem tak wysoko,
Osadziwszy ją na tronie...
Czyż i ona mnie rzuciła?
Albo może tłum nikczemny
Ją też zawlókł na plac kaźni?
Lub też może zapomniana,
W jakimś ciemnym lochu, cierpi,
Tak jak ja na krzyżu cierpię?"
Stary tułacz znowu wzdycha
I uśmiecha się znów skrycie,
Potem rękę wyciągnąwszy,
Wskazał w dal, na krańce morza,
Gdzie w księżyca jasnym blasku
Ślizga się po wód powierzchni
Biały żagiel...
„Spójrz, w tym statku"
Szepce cicho, „w statku, który
Mknie do Konstantynopola,
Wraca właśnie wielki badacz,
Mazułmanin krwi szlachetnej,
Emir pewien. Na swój statek
Przyjął on,—gościnny wielce,—
Porzuconą, zapomnianą,
Piękną żydów cesarzowę.
Toć że-ś był na śmierć skazany!
Toć że-ś był do krzyża wbity!

Wdowa ciebie opłakała,
Jak godziło się, rzetelnie!
I ów bogacz, mazułmanin,
Gdy przez Palestynę wracał,
Ujrzał twoją piękną wdowę
I o rękę ją poprosił;
No, a wdowa... obiecała,
Że spróbuje go pokochać.
Teraz oto lotem strzały
Do Byzancyum mkną oboje.“
Zaklął Munkel i obelgę
Wściekłą rzucił; gniewnie jęczy:
„To-ż jest wdzięczność za koronę,
Com na skronie podłej włożył?!
To-ż jest wdzięczność za cierpliwość?!
Wdzięczność za me przebaczenie?!—
Jakżem mógł się zdecydować
By do ust swych włożyć znowu
Raz już wyrzucony kąsek!
Czyż nie znałem już z początku
Jej istoty, charakteru?
Czyliż mogłem więcej żądać
Od rybiego tego rodu,
Od zimnego serca Nimfy?
Biała pierś, a czarna dusza,
Pełne piersi,—puste serce.
Jakżem dał się tak ogłupić
Obłudnymi wyrazami

„Doświadczonej“ niby „mniszki?“
Inne mają włos fałszywy,
Lub fałszywe piersi, członki:
Ta kobieta ma fałszywą
Duszę, którą na noc składa
Na stoliczku toalety!
Niegdyś wcale jej nie miała,
Teraz za to ma fałszywą,
By zastąpić nią prawdziwą,
Odmówioną przez naturę
Tym, co żyją na dnie wody!“
Tak się Munkel skarży, jęcząc.
I litością zdjęty starzec
Zbliża się, by skazańcowi
Zwolnić z więzów ręce, nogi,
Z krwawych ran wyciągnąć gwoździe,—
Ale Munkel pragnie umrzeć,
Z gniewem jego chęć odrzuca.
„Ha!“—odpowie wieczny tułacz
„Czyliż mogę łajać, ganić
Kogoś, który razem ze mną
Dzieli żądzę wiecznej ciszy,
Wieczystego odpoczynku?
Ach, wieczysty odpoczynek
Dziś podwójnie jest mi słodkim
I nęcącym, od tej chwili
Gdym nakoniec raz skosztował
Jego przedsmak,—przez największy

Z cudów, z przygód najdziwniejszą,
Jakie-m kiedykolwiek przeszedł
W tej tułaczce długiej życia!“
Westchnął ciężko i w wspomnienia
Swoje smutne się pogrążył;
Parę minut milczał stary,
Potem znowu mówić począł:
„Sto lat już upływa odtąd,
Kiedy starą żądzą śmierci
Trawion, płonną jej nadzieją,
W przepaść Etny się rzuciłem.
Lecz ognisty krater góry
Nie ma dna i w głąb gdzieś sięga:
Więc spadałem coraz niżej,
Coraz niżej, aż nareszcie
Spadłem w punkt środkowy ziemi,
Gdzie ciężkości centr się mieści,
Owo centrum, co ku sobie
Zewsząd i w kierunkach wszystkich
Każdą ziemską rzecz przyciąga
I potężnie utrzymuje;
Naturalnie, że już dalej
Spaść nie mogłem: więc zawisłem
Wolno, tak jak Mahometa
Trumna w świętem miejscu, w Mekce.
Tak przez ciąg stulecia cały
Tam wisiałem,—nieszczęsnego
Głód nie zmorzył, ni pragnienie

Nie zabiło, nie umarłem:
I nareszcie nowy wybuch
Wyrwał mnie z wnętrzności ziemi
I wyrzucił na wierzch nagle
Przez ognisty krater góry,
Znów mnie światu powracając
I na byt skazując płaski,
Przeznaczony synom ziemi.
  Jednak przez stulecie owo
Wydrzemałem się dokładnie,
Pogrążony w ciemnem łonie
Kuli ziemskiej, pogrzebany,
Pochowany tam za życia,
W tym jedynie nieruchomym
Centrze wszystkich ziemskich rzeczy,
Co doń dążą bez wytchnienia,—
W tej najcichszej z wszystkich mogił,
Co mi dała poznać przedsmak
Odpoczynku po za światem,
Słodkiej śmierci i nicości!
  A w istocie trzeba było
Raz mi się wydrzemać trochę!
Już uczuwam starość w członkach
I znużenie. Moje nogi
Już nie noszą mnie tak żwawo.
Jam już nie tak świeży, rześki,
Jak w minionych owych czasach,
Gdy z swawoli czystej tylko

Wdrapywałem się na szczyt sam
Niagarskiego wodospadu,
Odczuwając dziwną rozkosz,
Gdy mnie wir szumiący dziko
Staczał na dół i podrzucał
Po załamach skał tysiącznych;
Albo wówczas, gdy przeciąłem
Zbyt gorąco pulsujące
Żyły swoje, a następnie
Chcąc, by krew spłynęła chłodno,
Naraz z skały się rzuciłem
W Czerwonego morza fale,
Wówczas inną miało nazwę
A czerwonem je nazwano,
Odtąd właśnie, gdy się krwią mą
Na czas długi zabarwiło...
Bo przez trzysta dni pływałem,
Ociekając krwią, po falach;
Upust krwi podziałał dobrze:
Ach, młodości świeżej szale!“
Tak przemawiał wieczny tułacz,
Stary żyd Ahaszwer; potem
U stóp krzyża się rozciągnął
Zabierając się do drzemki.
Lecz jak śmierć, tak sen zarówno
Bieży odeń; myśl przekorna
Ściga go, a widok Munkla
W chmurne rzuca go dumania.

„Ach, tak oto,“—myśli z bólem—
„Jako człowiek ten na krzyżu,
W tej grobowej ciszy, w pustce,
Tak i ja dopiero wówczas
Zmierzę całą grozę bytu
I żałobę, gdy zostanę
Sam, ostatni człowiek w świecie;
A nademną gwiazdy będą
Wirowały, w przeraźliwej,
Głuchej ciszy, po nad globem,
Opuszczonym i zmartwiałym.
Ach, czy choćby wówczas wreszcie,
Gdy zwietrzeje bryła ziemska,
Wraz atomy mej istoty,
Rozsypane i zwietrzałe
Z ziemskim pyłem się połączą?!“
Równie jak pod krzyżem człowiek,
Tak i drugi ten, na krzyżu,
Bezsennością jest trapiony
I w zadumie czarnej tonie.
Straszną jest mogilna cisza
W koło, w wielkiej tej pustyni.
Munkel wisi wciąż na krzyżu
Zapomniany, opuszczony;
Tylko sępy, tylko kruki
Kracząc, krążą w koło krzyża.
Na swe życie rzucił Munkel
Wstecz spojrzenie i wybuchnął

Sarkastycznym gorzkim śmiechem:
„Niechby przyszedł tu mój twórca,
Niechby ujrzał na tym krzyżu
Arcydzieło swe zhańbione!
On, co tyle gadał, marząc
O przyszłości, pełnej blasku,
Co drzemała w łonie czasu
Dla wielkiego jego dzieła!
Ha, weź klątwę mej wdzięczności
Za twój mętny napój życia,
Za ożywcze źródło, sokiem
Niepożywnym odżywiane!
Ha, pyszałku! coś się nadął
Niezmierzoną głupią dumą,
Żeś z najlepszych materjałów
W pocie czoła coś spartolił,
Co się „człowiek“ nazywało?
Ileż to nadziei w swoich
Twórczych środkach pokładałeś!
Czyż nie było już podobnych,
Mniej pretensjonalnych środków,
A klecących stokroć lepiej
Ludzi z gliny i kamienia
Z oderwanych z dęba klocków,
Z smoczych zębów? Czyż nie stworzył
Bóg z Adama żebra—Ewy,
A Adama zaś z *niczego?!*
Wstręt głęboki mnie ogarnia

Do istnienia i do życia.!
 Chmury księżyc pokrywają;
A milczenie coraz głębsze
W koło krzyża, na pagórku;
Zda się, że zamarło życie.
Nagle ciszę przerwał krótki
Śmiertelnego strachu okrzyk:
To ptak jakiś, przebudzony
Snem, że sokół nań napada,
Krzyknął, trwogą śmierci zdjęty....
 Ha! cóż znaczy to widziadło?!
Na dalekim morza skraju
Nagle się wynurza statek,
Jakby widmo: straszny, pusty
I tak, jako śmierć samotny:
Jego żagle kruczo-czarne,
Czarny maszt i próżny pokład,—
Jedynego męża postać
Tak o czarny maszt oparta,
Jakby związan był u pala.
Nieruchomy, niby martwy
Żeglarz,—nie! żeglarza mara,—
Na pobladły księżyc patrzy.
A w ponurym, nieruchomym
Jego wzroku, tak jak w wzroku,
Tego męża, co na krzyżu,
Odbijają się obrazy
Wszystkich nędz i bólów życia.

Homunkulus znów na krzyżu
Począł jęczeć: „Całe życie
Nie jest-li okrzykiem strachu?
Czy przed śmiercią? nie, przed sobą!
Ja, com głosił nowe życie,
Pragnę dzisiaj *niebyt* głosić,
Pragnę żyć, żyć długie lata.
Wszystkie kraje świata obejść
I obwieścić wszystkim ludom
Wzniosłą *śmierci Ewangelię!*“
Ranny wietrzyk zawiał świeżo
Po nad wzgórzem, koło krzyża.
Śród tej strasznej nocy cieniów
Do potężnych postanowień
Homunkula myśl dojrzała,
Ze zwątpienia wzrósłszy gruntu.
A tymczasem zwolna zeszedł
Cichy sen na głowę starca,
Który tuż pod krzyżem leżał.
A w śnie dziwne ma marzenie,
Jawnie słyszy wieść cudowną:
Że zbawienia chwila wkrótce
Dlań nadejdzie, dla wędrowca
Znużonego, że wśród ziemskich
Synów jeden się znajduje,
Utworzony w dziwny sposób,
A którego los powołał,
By w dziedzictwie na swe barki
Wziął nieśmiertelności klątwę,

Straszną klątwę, z którą dotąd
Przez stuleci tyle błądził
Tułacz, żyd z Jerozolimy.
  Zbudzon ze snu, ciężko westchnął
Z żalem, że to sen był tylko;
Starzec zwraca się do Munkla
Skarży się, że musi znowu
W dal wędrować, choć tak bardzo
Jest znużony, jako nigdy,—
Że już wstąpił na najwyższe
Pożądania śmierci szczyty.
  „Słuchaj!“ Munkel mu odpowie,
„Bardziej, niżli ja, zmęczonym,
Niżli ludzkość, być nie możesz,
Biedny starcze,—a jednakże
Oto błagam cię, uwolnij
Z więzów moje nogi, ręce,—
Tak jest! nie chcę jeszcze umrzeć,—
Raczej *sam* umierać nie chcę;
Pragnę walczyć, działać, w imię
Tej idei, co tej nocy
W mym umyśle się zrodziła.“
  „Spocznij, spocznij! Zamilcz, zamilcz!“
Tak przestrzega go Ahaszwer.
  „Milczeć? Spocząć?“—odparł tamten,
„Milczeć będę, kiedy spocznę,
A spoczywać będę w grobie.
Mówić—życiu jest właściwem,
Milczeć—wielkie prawo zmarłych.“

Gdy z pomocą starca Munkel
Uwolniony został z krzyża,
Obaj, milcząc, podążyli
Na skalisty brzeg nadmorski,
Aby zbadać, czy w pobliżu
Niema gdzie jakiego statku,
Coby uwiózł ich daleko
Z tej krainy opuszczonej.
Lecz, jak okiem sięgnąć, przestrzeń
Była pusta. Bez wytchnienia
Kroczy jednak Ahaszwerus,
W ślad, dumając, zdąża tamten.
Naraz oczom obu wązka
Przedstawiła się zatoka
Pośród skał, a tuż w przystani
Nieruchomy statek stoi.
To ów martwy okręt właśnie
Z czarnym masztem i żaglami
Żałobnymi i z człowiekiem
Na pokładzie, w kształcie widma.
Tamten duma. Ale niemy
Starzec i ów cień żeglarza
Zda się, znają się; ich oczy
Spotykają się poufnie.
Stary skinął, by towarzysz
Wszedł na pokład. Ten go słucha.
W szarym brzasku okręt duchów
Cicho odbił od wybrzeża.

SPIS RZECZY.

Z francuskiego.

str.

Z cyklu Neuer Frühling.

Serafina.

E m m a.

Katarzyna.

str.

Jenny.

Goethe.

str.

S a f o.

Z łaciny.

Owidjusz.

Horacy.

Z rosyjskiego.

Puszkin.

OMYŁKI DRUKU.

Str. 27 zam „Neues Frühling“ winno być: *Neuer Frühling*

Str. 75 w. 8 od dołu: zam. „Księciu“ winno być *Książe*

Str. 96 w. 9 z góry: zam „Pargamu“ winno być *Pergamu*

Str. 124 w. 2: zam. „Wyższy!—“ winno być *Wyższy,*

Str. 167 w. 5: zam. „ty syna nosiłaś“ winno być *„tyś syna nosiła*

Str 169 w. 3 od dołu: zam. „jak dzik“ winno być *jak dziki*

Str. 212 zam. „Omulewicz“ winno być *Omulewski*.